

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

### PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10

**Adres:** Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

**Administracja** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

**T R E S Ć:** *Polityka:* Dokończenie podziału. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Czarodziej z Cucugnau. — *Życie społeczne:* Listy krakowskie p. Mor. — Listy petersburskie p. N. B. — *Badania naukowe:* Rousseauizm, p. K. R. Żywickiego. — Na torze ogólnodziejowym, p. A. G. Bema. — Wynalazki. — *Literatura i sztuka:* Literatura francuska, p. L. W. — Aleksander Głowacki (Bolesław Prus), II. — Romuald Hube. — Ludwik Neugebauer. — *Fejleton:* Liberum veto. Na widnokręgu, p. Z. Atanazego. — Kronika. — Humor. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

### POLITYKA.

#### DOKOŃCZENIE PODZIAŁU.

A mnie? A mnie nie się nie dostanie z tego łupu? — zawołała Francya po układzie anglo-niemieckim, który John Bullowi pozwolił wydrzeć kawał mięsa z wnętrza Afryki. Naturalnie tej wyciągniętej ręki niepodobna było odtrącić z niezem, boć zawsze jest to ręka, za którą stoi przeszło milion wojska. Z damą takiej siły trzeba być grzecznym i uwzględnić jej apetyt, zwłaszcza że z powalonego zwierza dzikiego nie wszystko zjedzono i jeszcze smaczne kaski pozostały. Więc dano jej wyłączny protektorat nad Madagaskarem i rozszerzenie „sfery interesów“ w przyległościach Algierji i Nilu.

Co do sławnej wyspy, to ona już od 200 lat przeszło pozostaje pod opieką i wpływem Francji, która istotnie przyjęła największy udział w kolonizowaniu jej, a nawet zroszeniu krwią swoją. Mianowicie gdy w r. 1670 komendant załogi francuskiej, la Haye, uwikłał się w spór z krajowcami, poniósł ciężką porażkę. W 98 lat później ponowiono usiłowania kolonizacyjne i wysłano agenta, Demodave'a, z bardzo łagodnymi instrukcjami. Przedsięwzięcie to byłoby się powiodło, gdyby — jak twierdzi prof. R. Hartmann (*Madagaskar*, 1886, str. 50) — „hr. M. Beniowski, nie zjednał sobie rządu francuskiego, nie pokrzyżował zamiarów Demodave'a i za pomocą olbrzymiego szwindlu oraz zmarnowania znacznych sum francuskich nie pokusił się o samodzielne zawładnięcie losami Madagaskaru.“ Kiedy we Francji przeniknęło jego plan ogłoszenia się *mpanjakubem*, tj. niezależnym królem wyspy, kazano komendantowi Souillacowi wystąpić przeciw niemu zbrojnie: w bitwie dnia 4 czerwca 1786 r. poległ Beniowski, ugodzony kulą. Sam on w III i IV tomie swych pamiętników (*Historja podróży i osobliwszych zdarzeń sławnego M. A. hr.*

*Beniowskiego, szlachcica polskiego i węgierskiego*, Warszawa, 1806) szczegółowo i odmiennie opowiada dzieje swojego przybycia i opanowania Madagaskaru; wydawca zaś tego dzieła, opisując na podstawie sprawozdań bohatera jego śmierć, broni go od zarzutów. Był to — według niego — „mąż nieustraszonego męstwa, zahartowany na wszystkie przygody i umięjący ze stałością prawie bezprzykładną waleczyć z najsroższymi niebezpieczeństwami. Do tylu tak rzadkich przymiotów łączył on doskonałą serca ludzkiego znajomość... Zdania o charakterze tego wielkiego człowieka są różne, zarzuty zaś przeciw niemu trudno powiedzieć, jak srogą napojone złością. Gdyby im przyszło ślepa dać wiarę, Beniowski byłby tyranem krwi niesytym, a rozbójnikiem bez najmniejszych prawideł poczciwości i cnoty. Przecież widzieliśmy, że w ciągu całego jego życia nie brakło mu na żarliwych czciocielach i na przyjaciółach determinowanych na wszystko, a kto ich posiada, musi mieć duszę piękniejszą, aniżeli oszczerstwo one wystawia.“

Godząc te sprzeczności, rzec można, że Beniowski był naturą wichrowatą, niosącą w sobie mieszaninę pierwiastków złych i dobrych, bohaterstwa i niecnoty... W każdym razie zapisał on w dziejach Madagaskaru kartę ważną. Obwołanie obcego przybysza przez ludność wyspy najwyższym władcą, pełne zapału mowy i przysięgi wodzów — świadczą, że Beniowski zdołał pozyskać sobie sympatyę krajowców. Warto przypomnieć sobie te fakty, warto nawet odesłać ciekawych do szczegółowego obrazu tych dziwnych zdarzeń, bo zaledwie nielicznym czytelnikom wiadomo, że z ową dziś przehandlowaną wyspą łączy się bardzo ściśle postać legendowego i w naszej literaturze błędzącego bohatera.

Od tej epoki stosunki Francji do Madagaskaru snują się pasmem częstych starć i ciągłych postępów w opanowywaniu go przez nią i przez inne państwa: Holandję, Portugalję, Anglię, a w ostatnich czasach

i przez Stany Zjednoczone. Obecnie dzięki układowi z Anglią, Francya pozostaje główną władczynią wyspy. Panuje tam jeszcze niby niezależnie królowa, ale jest to, a jeszcze bardziej będzie panowanie małpy w klatce zwierzyńca. Ranowalona może nawet ścinać głowy swym poddanym i dygnitarzom ubranym w znoszone uniformy dawnych generałów francuskich, dumni *howowie* mogą zachowywać wszystkie złudzenia i pozory niepodległej arystokracji krajowej, ale te wszystkie miny i ruchy będą miały znaczenie widoków operetkowych. Madagaskar tkwi już w kieszeni Francji i nigdy z niej nie wyjdzie.

Wobec daleko znaczniejszych, a zwłaszcza świeżych nabytków Anglii w Afryce wschodniej i środkowej, łup francuski wydaje się prasie francuskiej zbyt skromnym, zwłaszcza że on już faktycznie należy do niej oddawna, a teraz tylko został prawnie uznany ze strony współzawodniczki. Ale nie należy tych grymasów przyjmować z naiwną wiarą — mają one bowiem na celu uspokojenie cudzej zazdrości. Madagaskar nie jest wyspą bogatą, jako wszakże pozycja morska dla handlu i wdzierania się we wnętrza Afryki, posiada wartość nieocenioną. Kto wie, ile tam jeszcze urwać można, a z takiego stanowiska szarpać łatwo. Wreszcie dołączono do niego rozmaite rozszerzenia „sfery interesów“ na lądzie stałym. Wszystko to zaś w sumie stanowi piękny spadek po czarnym człowieku, odziedziczony za jego życia.

Umowa anglo-niemiecka zapewnia, iż zawarto ją dla *ostatecznego* usunięcia powodów do nieporozumień między dwoma państwami europejskimi w Afryce. My sądzymy natomiast, że podział Afryki już się skończył, ale kłótnie między jej opiekunami i posiadaczami dopiero kiedyś się zaczęły, mianowicie wtedy, kiedy stopnie geograficzne i okolice jezior nie będą już dostatecznymi znakami rozgraniczenia posiadłości, a „sfery interesów“ zaczęły wymagać linii ściślejszych.



## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Strzały, potem mowy, potem znowu strzały, potem znowu mowy itd. — tak się odbyła ceremonia oddania i przyjęcia Helgolandu pod władztwo niemieckie. Zwłaszcza prochu nie żałowano, a przerażone hukami armat mowy ani przypuszczały, że to w ten sposób ludzie sprzedają sobie kawałek skały. Dziś już helgolandczycy są obywatelami niemieckimi, którymi w imieniu cesarza rządzić będzie kanclerz państwa, a w imieniu kanclerza — gubernator wyspy.

Dłut telefoniczny, łączący Friedrichsruh z Hamburgiem, przeciągnięty został do Monachium, do redakcji *Allg. Zing*, która zaczęła przemawiać stylem Bismarkowskim. Według niej, Wilhelm II, zamieniając Zanzibar na Helgoland, dał babce brylant prawdziwy, a dostał fałszywy. Bez osłonek gazeta twierdzi, że taką nierówną zamianę można wytłumaczyć sobie względami i uczuciami rodzinnymi, to znaczy, że cesarz niemiecki skrzywdził swe państwo na korzyść Anglii dla dogodzenia babce. W tym pocisku znać rękę kanoniera z Friedrichsruh, który jeżeli strzelał, to zawsze bombami takiego kalibru, a nigdy nie wahał się mierzyć w osoby najwyżej postawione i ranić ich najcięższymi zarzutami.

Dziennik berliński *Post* puścił znowu w świat tajemniczą pogłoskę, że odwiedziły Wilhelma II u babki nie były pozbawione znaczenia politycznego i że ich owocem był inny układ, który nie mniej wszystkich zadziwi od poprzedniego. Czy to jest zwykła kaczka, jedna z tych, które prasa zwykle o tej porze wysiaduje, czy też echo prawdy — naturalnie rozstrzygnąć niepodobna.

Tymczasem cesarz niemiecki jeździ bez przerwy i zmęczenia. W nocy z 17 na 18 przybędzie morzem do Rewla, a nazajutrz uda się do Narwy. W orszaku jego znajdować się będą: ks. Henryk pruski, ks. Sasko-meklemburski, kanclerz Caprivi, marszałek dworu hr. Eulenburg i kilku generałów. Po powrocie z Rosyi ma Wilhelm II jechać do Austrii, Włoch, a podobno i Hiszpanii. Już dziś należy mu się przydomek monarchy podróżującego.

Pasterz rozpierzchłej trzody, Rieger, odbył pielgrzymkę do Wiednia, gdzie usiłował przekonać hr. Taaffego o potrzebie nadania językowi czeskiemu charakteru urzędowego; ale przedsięwzięcie to nie udało mu się. Wrócił więc do kraju zniechęcony i rozgoryczony, a umowa czesko-niemiecka strą-

ciła w tem jego niepowodzeniu ostatnią deskę ratunku. Sprawa ta wszakże jest takim wrzodem w łonie Austrii, iż znowu odezwała się dawno milcząca wieść, że cesarz Franciszek Józef ma zamiar ustąpić z tronu.

Wbrew przewidywaniom stosunki austriacko-serbskie nie poprawiły się, a jutrzeni stratami materyalnemi skutkiem zamknięcia granicy serbowie roznamietniają się coraz bardziej.

Więc ks. Ferdynand jedzie już do Bułgaryi, odprowadzony przez matkę do Węgier. O tem wszakże, ażeby zebranią o pomoc u dworów europejskich stanowisko swoje wzmocnił — nie nie słyhać.

Mianowanie biskupów bułgarskich w Macedoni oburzyło Grecyę, która obrzuciła Portę pogrozkami i pretensjami. Oprócz tego kłopotu, skołotana Turcja dźwiga brzemień innych, między którymi nienajlżejszy spadek na nią ze strony znieważonego patriarchy ormiańskiego.

Nareszcie w Argentynie z rewolucyjnego chaosu wyszedł rząd nowy pod prezydenturą Moralesa Bermudeza. Celman bowiem musiał ustąpić.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### LISTY KRAKOWSKIE.

Drugi zjazd chirurgów polskich. — Wbrew przepowiedniom. — Wykłady dr. Jasińskiego, Bogdanika i Becka. — Owoc pracy — Popis w zakładzie p. Rapaporta. — Z teatru. — Otwarcie zakładu dla nieuleczalnych.

Gdy w zeszłym roku zamykano obrady pierwszego zjazdu chirurgów polskich \*) zapowiedzią powtórnego za dwanaście miesięcy, odzywały się tu i owdzie głosy, wątpiące o ochocie, wytrwałości naszych chirurgów i obfitości materyału naukowego. Obecny zjazd zgoutwał miłe rozczarowanie, uczestnicy stawili się w liczbie pokaźnej, a co do materyału, to zdawało się, że na wyczerpanie go trzy dni nie wystarczą.

Prace, wygłoszone na zjeździe, zbyt są specjalne by się niemi tu zajmować można; jedynie trzy z nich mają ogólniejsze znacze-

\*) Jakkolwiek inny nasz korespondent zdał sprawę z obrad tego zjazdu, pomieszczamy drugą relację, zwłaszcza, że ona jest dopełnieniem poprzedniej. *Red.*

nie. I tak, spostrzeżenia dr. Jasińskiego co do „pyoktaniny“ ujęły niemało sławy zachwalonemu środkowi przeciwnie. Prelegent, idąc za Stillingiem, który miał osiągnąć znakomite wyniki po pyoktaninie, używał sam tego środka, jednak we wszystkich wypadkach z wynikiem ujemnym. Według Stillinga, pyoktanina jest świetnym antyseptykiem, bo posiada trzy głównie stawiane wymagania: bywa łatwo pochłaniana przez drobnoustroje, nie tworzy strupa i ma świetne własności refuzyjne; zdawało się zatem, że za jednym zamachem wyruguje kwas karbolowy, sublimat i jodoform. Wobec rozgłosu, tembardziej potrzeba było badań ścisłych i doświadczeń rzetelnych; takie też podjął dr. Jasiński; wszystkie one wykazały przesadę w zachwalaniu, a jedno z nich wreszcie dowiodło, że owa pyoktanina nie tylko nie jest dobrym środkiem przeciwnie, ale często przygotowywa nawet grunt dla bakterii. Gdy bowiem wstawił dwa naczynia, wypełnione pyoktaniną, w miejscu, gdzie mógł się spodziewać pleśni, otrzymywał ją rzeczywiście w naczyniu po krótkim czasie, a pleśń ta, przeszczepiona na pożywkę, dawała bardzo bujne kultury pleśniowe.

Wykład dr. Bogdanika p. t. „Bron palna Manlicherowska a przyszła wojna“ miał równie ogólniejsze znaczenie; prelegował jako prymariusz szpitala powszechnego w Białej, opatrywał wszystkich rannych i sam też robił sekcye ofiar walki bratobójczej. Tutaj pierwszy raz bronią ta położyła większą ilość ofiar, stąd też i spostrzeżenia przewyższają domysły doświadczeń dokonywanych dotąd na zwłokach i zwierzętach. Bruns i Habart, popierani przez rządy, austriacki i niemiecki, podjęli szereg doświadczeń z nowym systemem broni; spodziewano się po niej, że wobec bardzo małej objętości pocisku i ogromnej chyżości, i wobec tego, że powierzchnia jest całkiem gładką, rany zadane bardzo będą małemi, że ani w częściach miękkich, narządach mięszo-wych, ani w kościach, nie wywoła takich zniszczeń, jak kule, użyte w poprzednich wojnach, że zatem w przyszłości więcej będzie rannych, ale za to śmiertelność się zmniejszy i mniej pozostanie kalek. Tem cenniejszymi są spostrzeżenia dr. Bogdanika, gdy obaj wzmiankowani chirurgowie doszli do wyników wręcz sobie przeciwnych. Szczegółowo opracowane historie chorób i protokoły sekcyjne, jak równie pociski i ich odłamki, obok preparatów anatomicznych z poległych, dopełniając obrazu, umożliwiły stanowczą ocenę tej broni, już w przeniesieniu jej na szerokie pole

## Czarodziej z Cucugnau

(Bajka prowansalska).

Pocziwy doktor posiadał rozległą wiedzę, dużo bowiem się uczył, a pomimo to w Cucugnau, gdzie od dwu lat osiadł, nie miano żadnego zaufania do jego sztuki. Zawsze spotykano go z książką w ręku. Wtedy kukuniańscy mówili:

— Nasz lekarz nie nie umie, absolutnie nie. Od rana do wieczora i od wieczora do rana czyta. Jeżeli czyta, to dowód, że nie nie umie; jeżeli zaś nie nie umie, jest głupcem.

Tak filozofowali kukuniańscy i nie mieli do niego żadnej ufności.

Lekarz bez chorych podobny jest do lampy bez oleju. A jednakże musi on zarobić na nędzne istnienie. Ten biedak nie zarobił nawet na wodę, którą pił.

Czas był, ażeby rzeczy się zmieniły. Pas doktora, który on już zapinał na ostatnią dziurkę, był dla niego znowu za obszerny. Im bardziej zaś brzuch mu burczał, tem

gorliwiej rozmyślał on nad sposobem wydobycia się z fatalnego położenia.

Pewnego dnia ogłosił w całym Cucugnau, że wiadomości jego są tak wielkie, tak potężne, iż jest on w stanie nie tylko leczyć chorych wszelkiego rodzaju, co właściwie stanowi zabawkę dzieciinną, ale nawet wskrzeszać umarłych i to zarówno świeżo zmarłych, jako też dawno pochowanych według wszelkich reguł sztuki grabarskiej.

— Obudzę ich — rzekł z pełnem przeświadczeniem — w jasny dzień na cmentarzu, wobec wszystkich.

Nikt mu nie wierzył, niedowiarki jednak mówili sobie:

— Nie nie tracimy, jeśli go wystawimy na próbę. Trzeba go zobaczyć przy robocie. Przecież wiele czytał! A ileż to wynalazków robi się codziennie. Pójdźmy! Dokona cudu, damy mu poklask; jeżeli nie, obrzucimy go kamieniami; wtedy niech swojej sztuki wypróbuje na sobie samym.

Postanowiono tedy w niedzielę o południu zebrać się na cmentarzu, gdzie doktor wskrzesi jednego, lub — jeśli tego będzie potrzeba — dwóch umarłych. Niektóre stare panny mówiły nawet o dziewięciu lub dziesięciu młodych mężczyznach.

Jeszcze przed oznaczoną godziną cmentarz był pełny, jak kościół podczas pogodnej Wielkanocy, a gdy wybiła dwunasta, doktor, ubrany w czarną togę, przecisnął się przez tłum.

Stanawszy na podwyższeniu, pozdrowił obecnych, odkaslnął, odchrząknął głośno i rzekł:

— Moi przyjaciele, obiecałem wam wskrzesić umarłego i dotrzymałem słowa. Podnoszę rękę — proszę o spokój. Z równą łatwością mogę wskrzesić Jakóba, Jana, Nanonę, Babeau, Klaudyusza lub Szymona. Czy chcecie, ażeby Szymon zmartwychwstał? Jak on się nazywał? Szymon Cabanie, ten, który przed rokiem umarł na złośliwy katar?

— Przepraszam pana czarodzieja — zawołała Katarzyna, młoda wdowa po Szymonie. Był to niewątpliwie dzielny człowiek, który mnie uszczęśliwił i którego opłakiwać będę, dopóki Bóg pozostawi mi oczy w głowie. Ale nie wskrzeszaj go pan, gdyż przy końcu tego miesiąca zdejmuję żałobę, bo wysoki Pascal chce mnie poślubić. Zapowiedzie już wyszły i podarki jako naręczona już dostałam. Gdyby biedny Szymon to zobaczył, umarłby ze zgrzyoty.

— Strzeż się, panie czarodzieju — zawołał Jakób Lamell, podnosząc z groźbą ka-



wojny. Okazało się zatem, że broń Manlicherowska istotnie zbliża się najbardziej do pojęcia „broni ludzkiej“, bo albo zabija na miejscu, albo rani tak, że nie miazdzy tkanek, ani druzgocze kości, wskutek czego rana, dostępna dla chirurga, daje ręką mię szybkiego gojenia. Kula, rozgrzana do 255 stopni, nie tylko sama zakazić nie może, ale owszem potrafi zniszczyć wszelkie zarazki.

Nie potrzebuje dodawać, jak ożywiona dyskusja toczyła się nad przedmiotem.

Trzecią wreszcie kwestyą, zajmującą szersze koła, był wykład dr. Becka „Oznaczenie lokalizacji czynności kory mózgowej, na podstawie zjawisk elektrycznych w mózgu“. Prelegent, asystent przy katedrze fizjologii, podaje za przyczynę, dla której w tej sprawie głos zabiera, chęć zyskania pomocy chirurgów, gdyż zdarza się im często sposobność odstawiania kory mózgowej i możność robienia na niej doświadczeń. Jeżeli za pomocą dobrego przewodnika elektryczności połączymy przekrój poprzeczny nerwu lub mięśnia z powierzchnią nieuszkodzoną, to w łączniku za pomocą odpowiednich przyrządów można wykazać istnienie prądu, który nosi nazwę spoczynkowego, w odróżnieniu od prądu czynnościowego, który powstaje, ilekroć nerw lub mięsień wprawimy w stan czynny. Przyczyną powstawania prądu spoczynkowego jest pojawianie się napięcia elektroujemnego w miejscu uszkodzenia nerwu lub mięśnia, a dla prądu czynnościowego punktem wyjścia jest napięcie elektroujemne w miejscu, gdzie powstaje stan czynny. Wychoząc więc ze stanowiska, że wszędzie tam, gdzie powstaje stan czynny w mięśniu, nerwie, gruczołach, pojawia się napięcie elektroujemne, dr. Beck starał się przekonać, czy i w układzie nerwowym środkowym powstaje prąd spoczynkowy i czynnościowy, i czy na podstawie oznaczenia kierunku tego prądu będzie można wykazać, które ośrodki przeszły w stan czynny.

Doświadczenia na zwierzętach wykazały istotnie, że przy drażnieniu oka światłem, zjawia się napięcie elektroujemne w płacie potylicowym kory mózgowej, przy drażnieniu ucha, w płacie skroniowym itd. Doświadczenie udało się bardzo pięknie, wychylenia igły w galwanometrze pokazywało za pomocą projekcji na ekranie.

Zjazd wyczerpał wszystkie prace, jakie były w programie, a każda z nich dała powód do ożywionej wymiany zdań, trafnych spostrzeżeń z praktyki, krótko mówiąc, wy dobyto prawdziwy pożytek; przybyła niejedna wiadomość i rozjaśniły się wątpliwości;

obok teoretycznej nauki zyskało i dobro chorych, a węzeł, łączący polskich chirurgów, silniej się zacisnął. W przyszłym roku zamiast zjazdu, pracować będzie tylko sekcya chirurgiczna w ogólnym zjeździe lekarzy i przyrodników.

W zakładzie dr. Rapaporta odbył się doroczny egzamin, z którego można było powziąć wyobrażenie o kierunku instytucji, mającej wykształcić chłopców żydowskich na ślusarzy i stolarzy. Dotąd tylko dwa te rękodzieła uprawia zakład; 9 chłopców nabywa znajomości stolarstwa, 10 ślusarstwa tutaj uczą ich języka polskiego, niemieckiego, historii, geografii, fizyki i matematyki. Popisywali się z tego i podobno ku ogólnemu zadowoleniu. Na zakończenie, jeden z uczniów podziękował twórcom zakładu, „za to, że mogą tu kształcić się na pożytecznych i pracowitych członków społeczeństwa na pożytek kraju, który ich przyjął niegdyś jako tułaczów.“

Na tułactwo skazał przedsiębiorca tutejszego teatru p. Wernera — tak, ni ztąd ni zowąd, a zapytany o przyczynę tej nagłej dymisy, odpowiedział, „że musi zmniejszyć personel.“ P. Werner przeszedł 10 lat występując na scenie krakowskiej a podobno od 5 lat jest jej reżyserem; p. W. ma kontrakt, w którym jednak obwarowany jest p. Glücksohn. Nagła dymisy, bez przyczyny — bo że przedsiębiorca chce zmniejszyć personel, to jeszcze nieracya — w okresie połowy gaży i w czasie, kiedy inne sceny pozawierały już umowy z aktorami, jest dopiskiem do uchwał ankiety teatralnej we Lwowie.

Kierownikiem artystycznym teatru ma być p. Pawlikowski, obeznany z pracą, którą podejmuje; ztąd żywimy nadzieję, że może choć w części przyczyni się do uleczenia tej choroby.

Tymczasem zajdźmy do tych, co są już nie do uleczenia: otwarto dla nich w tych dniach wspaniały zakład fundacyi Helclów. Nie posiadamy dotąd danych wyczerpujących; wiemy tylko, że grunt pod budowę kosztował 80,000 złr. a budowa i urządzenie 560 tysięcy złr. Ładne cyfry, a jeszcze nie wszystkie; przy urządzeniu wzięto na uwagę nie tylko potrzebę, ale nawet zbytek. Pojęcie rozmiarów zakładu dają liczby: powierzchnia zabudowana pod budynkiem głównym wynosi około 3,600, kaplicy 500, budynków gospodarskich 600, razem 4,700 metrów kwadratowych. Zakładem rządzą siostry miłosierdzia. Ile kalek znajdzie tam pomieszczenie, o tem w przyszłym liście.

Mor.

## LISTY PETERSBURSKIE.

7 sierpnia.

Skąd się wzięli górale. — Historia Chrobacyi. — Helgoland. — Ubezpieczenie robotników. — Jeszcze o Bismarcku.

Któż nie wie, że górale galicyjscy, szukając zarobku, co rok, w czasie żniw przybywają do Królestwa. Wiadomo też, że dzięki wielkiej ilości magnatów, księży i wojska — włościaninowi w Galicyi coraz trudniej żyć na świecie. Lecz zapewne nikt się nie domyśla, skąd ci górale przychodzą. Oto korespondent *Moskowskich Wiedomości*, opisując w jaskrawych barwach nędzę włościan, szukających w Królestwie chleba, powiada: taki to ucisk cierpi biedny lud ruski pod rządem austriacko-polskim. Zresztą nie dziw, że ta gazeta pisze coś podobnego; lecz dziwniejsza, że *Dziennik*, który w gronie swych współpracowników ma znawcę ludów słowiańskich — p. Filipowa, przedrukował ową korespondencyę bez żadnego zastrzeżenia. Toć zaledwo w przeszłym roku p. F. pisał z Galicyi, że rusini i demokraci polscy łączą się przeciwko arystokracji, którzy na barki ludu zbyt wielki ciężar kładą — i nagle byle wylać kogoś nazwano górali ruskim ludem, a polaków wszystkich bez wyjątku ciemnizyćcami. Chyba to wstyd jest przedrukowywać z zamrzonemi oczyma sensacyjne głupstwa; nie badając sprężyn, lając ogólnikowo.

Niedawno wyszła z druku *Historia narodu chorwackiego*, napisana przez p. Filipow. Autor przychodzi do wniosku, że machina państwa Hohenzolernów traci szruby, że wkrótce się rozsypie, że na jej drzazgach, krom części Niemiec i węgrov, ujrzymy cztery dzielnice słowiańskie: chorwacką, czeską, polsko-galicyjską i rusińską.

Można powiedzieć: — poco te zapędyl Jakie tam dzielnice?! W razie potrzeby Austria za polewkę z soczewicy rozda niektóre części silniejszym i koniec na tem. Niech dzisiaj ktoś ofiaruje jej np. Bułgaryę za Galicyę — a z pewnością jutro skutecznie się zamiana — wstawiane zęby nie bolą. Zwalaszca, że i czasy się zmieniają; dawniej oddawano kraje z musu, a dziś czyni się to dla interesu. Kupiecka Anglia nie zapytała mieszkańców Helgolandu, czy chcą należeć do Niemiec? Dobrowolnie odcieła sobie zdrowy palec, byle zyskać możność odcieć negrom rękę. Zmiarkowała, iż pięć palców więcej znaczy, niż jeden. Wkrótce za jakis

mien. Nanona była moją żoną. Przeżyliśmy z sobą dziesięć lat — dla mnie dziesięć lat czysca — wie o tem cały Cucugnan. Niech ona dla mojego i swojego spokoju pozostanie tu, gdzie leży. Była gryzącą jak pieprz hiszpański, upartą jak muł, a przytem próżną i brudną; była marnotrawną i miała zły język, prawdziwy język węza, tak, że Najświętszą Pannę i Świętego Józefa mogłaby doprowadzić do awantury. I — ale nie mogę powiedzieć wszystkiego.

— Ależ mój przyjacielu, możnaby przecie...

— Ostrzegam cię, panie czarodzieju — grzmiał Jakób. Zmarła żona — nowy kapełusz! Ponieważ Nanona pozostawiła mi troje dzieci, które, nawiasem mówiąc, wcale do mnie nie są podobne, ożeniłem się powtórnie. Jak widzisz pan więc, twój trud byłby daremny.

— Ach, rozumiem — uspakajał go doktor. Jest to jasne, że po przebyciu czysca musisz jeszcze przejść piekło. Jedna kobieta to więcej, niż dosyć.

Gładząc długą brodę, mrugnął na Jakóba znacząco i znowu podniósł głos:

— Jak uważacie, gdybym wskrzesił majstra Piotra? Ktoś bowiem musi zmartwychwstać.

— Myślisz pan Piotra z Wielkich Miar? — zapytał Feliks Piątek.

— Tak, był to dzielny człowiek.

— Bardzo dzielny człowiek, niech mu Bóg da wieczny odpoczynek. Był to święty człowiek, ten mój dobry ojciec. Ale nie wskrzeszaj go, bo gdyby zmartwychwstał, serce pękłoby mu z bólesci na widok klótni panującej między rodzeństwem, a on lubił spokój ponad wszystko. Po długich zwadach, bójkach i nieskończonym procesie podzieliliśmy się dziedzictwem, złożonem z kilku kawałków ziemi. Każde z nas ma kupę dzieci i musi myśleć o wyżywieniu ich; każde usiłuje na swój młyn sprowadzić wodę.

— Nie należy go więc wskrzeszać?

— O, nie, nie — rzekł Piątek z pośpiechem. Gdyby zmartwychwstał, musielibym biednemu starcowi płacić pensyę miesięczną — byłoby to zupełnie sprawiedliwem. Lata wszakże są złe, panie czarodzieju. Wiecie, że jedwabniki nie nie robią, albo zdychają. Krzewy winne chore, zboża sprzedąć nie można. Oliwki zrobaczały, deszczów niema.

— W takim razie nie ruszajmy biednego Piotra. Ponieważ jednakże nie przyszedłem tu dla nawłócenia paciorek, a wy dla przy-

patrywania się tej mojej robocie, muszę wskrzesić — ale kogo? Powiedźcie sami — kogo?

— Moją Gutonę, dajcie mi moją Gutonę! — prosiła ze łzami stara kobieta.

Czarodziej udął, że nic nie słyszy i spuścił zamysłony oczy. Już powstał szmer między obecnymi, gdy jakaś dziewczyna zawołała żywo:

— Zostaw ją w spokoju, panie doktorze. Piękna ta dziewczina dobrze uczyniła, umierając. Na łożu śmiertelnem zwierzyła mi się ze wszystkiego — wtedy ubraliśmy ją w sukienkę ślubną i wianek mirtowy. Moja biedna przyjaciółka wyglądała jak oblubienica. Pozostała w ziemi moja święta, bo ten, którego kochałaś, połączył się z inną.

Pocziwy doktor otarł łzę z oczu i rzekł z namaszczeniem:

— Wieczny odpoczynek!

Oczy obecnych również zwilgotniały.

— Wieczny odpoczynek! — powtórzyli wszyscy.

Po krótkiej przerwie czarodziej zaczął:

— Ostatecznie nudzi mnie to bezczynne przepędzanie czasu. Znam jednego, który nie pozostawił ani żony, ani dziecka, ani siostry lub brata, tylko wzór swoich cnót



Sudan i Saharę odda Irlandyę, a wreszcie za całą Afrykę — i Brytanię. Interes czy-  
sty: Afryka większa i cieplejsza od Anglii.  
Przywiązanie do ziemi? Przesąd: kupiec  
przywiązuje się nie do towaru, jeno do inte-  
resu.

Zwracam uwagę szanownych znawców  
zagadnień społecznych, że przy ubezpiecze-  
niu robotników, warto by pamiętać nie tylko  
o takich, którym zębate koło rozszarpie  
członki, lecz i o inwalidach, o starcach.  
Przypuśćmy, pracują w fabryce Jan i Piotr.  
Pierwszy od 15-tu, drugi od 30 lat. I oto  
pierwszemu z nich wypadek kaleczy rękę i  
daje prawo do dożgonnego wsparcia; tym-  
czasem drugi, zreumatyzowany lub od wy-  
ziewów półstruty, a w każdym razie zdrę-  
czony, bezsilny, nie ma prawa do pomocy —  
a tu dzieci wrzeszczą o chleb.. Czy nie uka-  
że się pokusa i czy nie szepnie: podstaw  
nogę pod ten młot a dobrze ci się stanie!  
Okrutny szepet, lecz możebny.

Z innej strony, fabrykanci, usunięci od  
osobistej odpowiedzialności za kalectwo ro-  
botnika, czy będą się troszczyć o całość ich  
członków? Jeżeli dzisiaj widzimy w tym  
względzie dziwną niedbałość — np. w od-  
dziale maszyny, w owej pułapce na całość  
robotnika, gwoli ekonomii, bywa ciemno jak  
w lochu, — cóż się stanie wówczas, gdy  
gospodarz będzie nieodpowiedzialny?

Korespondent gazety *Nowoje Wremia*,  
kończąc opisanie swej wizyty u Bismarka,  
raptem zaczyna się unosić i nad śniadaniem  
u owego pana i nad dobrocią jego i nad mą-  
drością, a więc narzekać na los srogi wzglę-  
dem tak dostojnej jednostki.

Wszystko to czyni honor dobremu sercu  
gościa i jeszcze raz dowodzi, że na ludzi słab-  
ej woli stary dyplomata umie wpływać  
znakomicie.

N. B.

## BADANIA NAUKOWE.

### „ROUSSEAU'IZM.“

Umysłem, wierzącym we wszechpotęgę  
idei, w oderwaniu od warunków przedmio-  
towych, dalibyśmy do rozwiązania jedną  
zagadkę. Potężny ruch czartystów istniał  
przed półwiekiem w Anglii. Nie kroczył on  
ścieżkami zdawkowego demokratyzmu, nie  
szukał rozstrzygnięcia kwestyi społecznej

wszystkim i kilka groszy szpitalowi. Czy  
mam wskrzesić waszego księdza, którego  
tak kochaliście i oplakiwali?

— Nie, nie! — zawołało kilka zakonnic —  
nie czyn tego panie czarodzieju.

Rosselina zaś, przełożona ich, dodała:

— Kochany, pocziwy człowiek! Jakże  
on już był stary i głuchy, głuchy jak gar-  
nek! Gdy mu na spowiedzi mówiono czar-  
no on rozumiał białe. Pozostawmy go na  
łonie Abrahama; na jego miejsce dosta-  
liśmy małego, młodego pasterza, który bar-  
dzo dobrze wygląda. Szanowny człowiek  
ten nasz nowy ksiądz. Śpiewa jak organ,  
mówi jak archanioł, a trzodę swoją prowa-  
dzi, jak należy.

— Cóż mam na to odrzec? Jeżeli tak  
jest, obojętny się za kimś innym. Patrz-  
cie, tu stoi krzyżyk drewniany, pokryty  
trawą i kwiatami, które jak gdyby chciały  
zasłonić jego czarną barwę. Spoczywa tu  
niemowlę, które liczyło zaledwie dziesięć  
miesięcy. Rzeczywiście byłoby grzechem  
budzić je ze snu; jest ono tak szczęśliwym,  
że już nie żyje w tym samolubnym i po-  
dłym świecie, gdzie trzeba słuchać, co wy  
o mnie mówicie, moi przyjaciele. Jeżeli  
wszakże sobie życzyacie, wskrzeszę to dzie-  
cko.

po za organizacją społeczną w prywatnych  
eksperymentach i eksperymentach do ni-  
czego nieprowadzącej samopomocy ekono-  
micznej i nie przemawiającej do dobrych serc  
mieszczaństwa, lecz jasno i wyraźnie wy-  
powiadała myśl, że jedynie ujęcie klasowe  
maszyny państwowej i skierowanie jej ku  
zagadnieniom społecznym może rozwiązać  
palące niedomagania chwili bieżącej. A je-  
dnak wszystko to minęło wraz z ideą „świę-  
tych dni“ i „świętych miesięcy“ ogólno-  
krajowych. Zamiast polityczno-klasowej  
akcyi nastąpiły czasy cechowej odrębności  
Trades-Unionów; zamiast jednej niepodziel-  
nej kwestyi społecznej, rozczłonkowano ją  
na mnóstwo pojedynczych, niby nawzajem  
niezależnych: ukazały się kwestye mieszk-  
alne, zarobkowe, materyalne. I znowu po  
kilku dziesiątkach lat milczenia dawna fala  
powraca, lecz czartyzm odradza się w in-  
nej, szerszej postaci. Nowy zwrot zrodził  
się po za drobnomieszczańskimi w swych  
ideałach Trades-Unionami, które raczej gor-  
liwie usiłują zażegnać i rozwiać chmurę,  
jak dowiodła tego między innymi ich tak-  
tyka w dniu 4 maja. Lecz oddaliliśmy się  
nieco od przedmiotu; chcielibyśmy bowiem  
tylko wskazać, że „idea“ była niegdyś  
w Anglii; pierzchnęła następnie przed innymi  
mocno zdawkowymi lub jawnowstecznymi  
dążnościami i znowu się narodziła. Wytło-  
maczenia tej zagadki należy szukać w na-  
der prozaicznych i pospolitych czynnikach:  
w warunkach materyalnych. Upadek czar-  
tyzmu idzie ręką w rękę z niezmiernym roz-  
kwitem w Anglii ekonomiczno-produkcyj-  
nym. Najmota uczestniczy w zyskach swo-  
jego pracodawcy i z niezadowolonego dy-  
abła staje się zadowolonym stworzeniem,  
które zapomina o wszystkim, co nie leży  
tuż pod nosem. Lecz rozwój przemysłu  
w innych krajach powoli strąca dawną kró-  
lową mór z jej stanowiska; najważniejsza  
produkcya, wyrobów bawełnianych, poczy-  
na uciekać do południowych stanów związ-  
ku północno-amerykańskiego i do Indyi  
przedgangesowych, inne — chromać w wal-  
ce o rynki. Zyski kapitału maleją, przed-  
siębiorcy usiłują to powetować sobie na pł-  
cy, która i tak spada wskutek wzrastają-  
cych rezerw głodnego najemstwa. Dawne  
wspomnienia zmartwychwstają. Przed kilku  
numerami mówiliśmy w *Prawdzie* o jednym  
zdarzeniu, które wypłynęło na tej powraca-  
jącej fali — sędzie mieszczaństwa nad Spen-  
cerem za to, że niegdyś w jednym ze swych  
dzieł wydrukował pewne poglądy teorety-  
czne, służące dzisiaj za oręż „warchołom.“  
Wśród sędziów spotkalismy imię znane-  
go badacza Huxley'a. Uczony ten, zau-

— Panie czarodzieju — rzekła jakaś sta-  
ruszka płacząc — ono do nas należy — ja  
jestem jego babką. Moja córka karmiła je  
i już dostawało ząbków, gdy zmarło. Bóg  
nam je zabrał, niech się stanie jego wola.  
Teraz mamy inne. Co niebo wzięło nam  
jedną ręką, to dało drugą. Nie wskrzeszaj  
tego maleństwa, gdyż córka moja nie ma  
mleka dla dwojga, a na trzymanie mamki  
nas nie stać.

— Dosyć na dziś — rzekł lekarz. Ponie-  
waż nie chcielibyście, ażebym dokonał cudu,  
zrobię to kiedy indziej, nie wskrzesza-  
jąc umarłych, ale przeszkadzając wam um-  
rzeć.

Uklonił się grzecznie i odszedł.

Od tej niedzieli sprawiał on cudowne  
uzdrowienia w Cucugnane. Umarłych po-  
zostawiał w spokoju, ale niejednemu ura-  
tował życie. Mieszkańcy mieli do niego  
wielkie zafanie, bo — mówili — jeśli nie  
dotrzymał słowa, nasza w tem wina.

Na tem kończy się opowieść, a jak widzi-  
cie — kończy się dobrze.

ważymy, widocznie jest ulepiony z nie-  
co innej gliny, aniżeli nasi jego współzawo-  
dowcy, gdyż naprzekór wyrobionym u nas  
poglądom zabiera często głos w różnych  
sprawach natury społecznej; niedawno np.  
skończył się długi spór jego z biskupami  
angielskimi, w wysokim stopniu gorszący  
prawowierne koła angielskie. Można nie  
zgodzić się na jego teorye, lecz należy przy-  
znać, że kiedy inni biadali nad nietakty-  
cznością Spencera z powodu wygłoszenia  
przezeń kilku poglądów, nieco niebezpie-  
cznych dla porządku społecznego, Huxley  
tymczasem uchwylił istotnie zasadniczy  
rys w doktrynie autora *Filozofii syntety-  
cznej* i wyciągnął go na jaw, wskazując na  
pewne apriorystyczne założenia, zapożyczo-  
ne od szkoły Roussa. Nie poprzestał jednak  
na tem. Widząc, że „Rousseau'izm“ jest  
dzisiaj podstawą, na której opierają się  
w swych wymaganiach rzeczniczy unarodo-  
wienia ziemi i że wogóle, od czasów wiel-  
kiej Rewolucyi francuskiej, służy on za na-  
rządzie warcholstwa, postanowił zmódrz te-  
go zasadniczego wroga porządku społeczne-  
go. „Po upływie stulecia pisma Russa ucho-  
dzą w oczach bardzo wielu za „magna  
charta“ rodu ludzkiego. Wolność, równość  
i braterstwo są wciąż okrzykiem bojowym  
i wielu wraz z Roussem mniema, że cier-  
pienia ludzkie to następstwo sztucznego u-  
kładu społecznego... Ci, którzy przeczytają  
te pisma do końca (mowa o kilku kryty-  
kach), zamiarkują niewątpliwie, iż latarnia  
polityczna Rousseau'izmu jest ledwie gro-  
mnicą i zaprowadzi tych, co pójdą za nią,  
w najgłębsze bagna anarchizmu.“ Zdania  
powyższe, zmierzające widocznie do obale-  
nia przeciwnika, czytamy w rozprawce  
o przyrodzonej nierówności między ludźmi,  
drukowanej w jednym z miesięczników an-  
gielskich. Nad pracą tą, która nie posiada  
zresztą żadnego większego znaczenia, za-  
trzymujemy się, ponieważ poglądy, wypo-  
wiedziane przez biologa angielskiego, są  
kursującą w świecie monetą.

Na czym więc polega Rousseau'izm z je-  
go niebezpieczeństwami i manowcami? Otóż  
na tem, że wychodzi z pewnych apriorysty-  
cznych a bezwzględnych założeń, do któ-  
rych usiłuje nagiąć życie społeczne i prze-  
budować ustrój, nie pytając się, czy można  
to uczynić i czy jego teoretyczne ideały nie  
są raczej chimera. Założenia te zostały stre-  
szczone w tak zwanem „prawie natural-  
nem.“ Ludzie są z natury równi, wolni, je-  
dnakowo dobrzy i na tej zasadzie posiadają  
prawo przyrodzone do równości i wolności  
wraz z obowiązkami — być dobrymi. Filo-  
zofia ta społeczna, wyznawana zresztą w ca-  
łej swej rozciągłości jedynie przez sankiu-  
lotów z r. 1793, stała się dzisiaj, po wielu  
latach zapomnienia, hasłem radykalnych  
odłamów Anglii. Huxley wziął sobie wła-  
śnie za cel obalenie tej apriorystycznej za-  
sady „praw naturalnych.“ Rzuca on więc  
pytanie, czy istotnie ludzie rodzą się wol-  
nymi i równymi. „Oglądałem bardzo wiele  
niemowląt — rozumuje pół poważnie i pół  
żartem — i chociaż im szacunku nie odma-  
wiamy, trudno mi zrozumieć, jakim sposo-  
bem można upatrywać w nich pewne uzdol-  
nienia polityczne. Czyż podobna o biednym  
drobiazgu mówić, że jest wzajemnie sobie  
równy w innem znaczeniu nad to, że jest  
zerem? Albo czy można go nazwać wolnym,  
wszak żadne dziecko nie wyżyłoby jednej  
doby bez cudzych rąk dobroczynnych.“ Zda-  
niem Huxleya, Arystoteles najbardziej  
zbliża się do prawdy ze swoimi niewolni-  
kiem „urodzonym.“ Rousseau twierdząc, że  
wszyscy ludzie rodzą się równymi jako  
przyszli piastuni losów i organizacyi spo-  
łecznej, popełnia błąd nie do darowania;  
w istocie bowiem szalone różnice istnieją  
już pomiędzy dziećmi tych samych rodzi-  
ców; cóż dziwnego, że odezwać się one mu-  
szą później i w ustroju społecznym. Każda  
rodzina przedstawia niby drobne społecz-  
stwo; wśród grona braci i siostr jedne oso-  
bniki są bardziej poważane i słuchane, inne



mniej, a to dzięki rozmaitym swoim uzdolnieniom duchowym. Niech działy wyrosną i utwórz istotne społeczeństwo, a od razu w faktie naturalnym różnorodności uzdolnień otrzymamy zarodek hierarchii osób i rzeczy. Nierówności polityczne są następstwem organicznych. Słowem, twierdzenie, że ludzie rodzą się równymi, a tem samem jednakowe posiadają prawa, uważać należy za niedorzeczność i niepodobną sobie nawet przedstawić najdzikszego społeczeństwa, gdzieby zupełna pomiędzy osobnikami panowała równość. Wraz z zasadniczym twierdzeniem upadają wyprowadzone z niego wywody. Huxleya, który wziął pióro do ręki ze względów praktycznych, obchodzi naturalnie teoria przeciwników o bezprawiu własności prywatnej. Sądzi on, że skoro ludzie nie są równi i z konieczności rozliczne w społeczeństwie odgrywają rolę, nie wolno też mówić o jednakość ich praw do ziemi. Porzucając następnie teorię i przechodząc na grunt rzeczywistości, przekonywa, że wyniki błędnej zasady w sferze praktycznej doprowadziłyby do chaosu. Według Rousseaua wszyscy ludzie posiadają jednakie prawo do tego, co istnieje w przyrodzie. A zatem, jeśli gruntu angielskie staną się ogólnonarodową własnością, wtedy chińczycy i czerwonoskórzy, mając takie same prawa do ziemi, mogą żądać ich uwzględnienia w imię etyki naturalnej. Co na to powiedzą rzeczniczy Rousseauizmu? Czyż uczynią zadość „prawu naturalnemu“, czy nie wystąpią z orężem w obronie „bezprawia“? Huxley, nie poprzestając na odparciu danych zarzutów, jeszcze jedną stara się obalić tezę. Rousseauiści twierdzą, że własność ziemską wyłoniła się z najazdu i podboju. Nasz biolog usiłuje wykazać bezzasadność tego sądu. Przypuszcza naprzód, że tak było, lecz jednocześnie bierze przykład następujący. Złapano, dajmy na to, szajkę rozbójników morskich i odebrano im zrabowane łupy. Czyż etyka załódze, która ujęła rozbójników, nie przyzna części zabranego majątku, chociaż jest on owocem grabieży? Któż zaprzeczy prawowitości mienia, który powstał z tego źródła? Podobnie rzeczy stoją z własnością ziemską, z tą wszakże odmianą, że wojna mocno różni się od grabieży; walczące bowiem strony są przygotowane z góry i wiedzą, co czeka jedną w razie przegranej, kiedy idą do boju. Grunt, zdobyty na wojnie, uległ zresztą od tego czasu różnym przejściom, drogą umowy i kupna. Lecz hipoteza takiego rodowodu własności ziemskiej jest mylna. Od czasów, kiedy żył Rousseau, upłynęło półtora wieku. Nowoczesna nauka rzuciła zupełnie odmienne światło na genezę majątków gruntowych. Wykazała ona, że nigdy nie było takiego stanu, w którymby ziemia należała do całego narodu ludzkiego lub nawet do jednego narodu: zawsze istniało prywatne władanie, chociaż posiadaczami były nie jednostki, lecz grupy wioskowe; w dalszym ciągu dowiodła, że ta pierwotna postać zbiorowego władania przeszła w ręce pojedynczych właścicieli, nie tylko dzięki wojnie, ale także na mocy ewolucji, w imię wymagań techniki i postępu ekonomicznego. Niegdyś mniemano, że religie są wymysłem chciwości i oszustwa kapłanów; dzisiaj wiemy, iż były niezbędną fazą rozwojową, wynikającą z samej natury umysłu ludzkiego. Podobnie i własność jest naturalnym skutkiem wrodzonej nierówności pomiędzy ludźmi. Huxley wyraża w końcu nadzieję, że wyznawcy Rousseauizmu niewiele wskorają. Po cóż więc było wymierzać przeciw nim takiego kalibru dział? „Widząc, jak wielkimi a rozmaitemi są nieuniknione cierpienia człowieka i jak wiele na tem zależy, aby wszyscy wzięli się z najlepszą wolą i myślą do złagodzenia tych plag, które można usunąć, uważam za rzecz godną pożądowania, że niektóre osoby są powstrzymywane przez te spekulacje mgliste od znalezienia owej ważkiej ścieżki, która jed-

nie prowadzi jednostki i ludy do stałego a pewnego dobrobytu.“

Słowem, Huxley reprezentuje w zupełności ów odłam zdrowego rozsądku, który mocno trzyma się gruntu rzeczywistości. Rozumowanie jego jest jakby wyjęte z ust przeciętnego obywatela. Najciekawsze są dzieje Rousseauizmu jako metody i jako zbioru żądań. „Prawa naturalne“ to sztandar wybijającego się na wierzch mieszczaństwa. Pod tem hasłem żądano zniesienia ekonomicznych i politycznych przywilejów feudalizmu, organizacji cechowych itd. Nie darowano ani jednemu „bezprawiu.“ „Bezwzględna polityka“ cieszyła się wtedy uznaniem. Została ona wprowadzić skompromitowana w r. 1793 przez rzeczników sankiulotyzmu, którzy wywnioskowali z niej równość dochodów z równością użycia; lecz darowano jej to przeniewierstwo, a raczej nadmierną logikę, bo trzeba było wciąż jeszcze oręczać przeciw szkole historycznej, wyłonionej przez feudalizm i poszukującej źródeł owej mieszczańskiej „natury.“ Lecz kiedy najmiętność, to potomstwo sankiulotów, poczyną zwracać się do praw naturalnych, w duchu wywodów Rousseaua, mieszczaństwo zaczyna albo je kastrować, co uczynił dzisiejszy Spencer, lub czując już grunt dziejowy pod nogami, odwoływać się w osobie Huxleya do praw historycznych. Zatrzymajmy się nieco nad pierwszym. Niegdyś stał on na gruncie Rousseauizmu wraz z wnioskiem, że prywatne władanie jest bezprawiem. Było to niemal przed półwiekiem. Dzisiaj zajął odmienne stanowisko. Z powodu wspomnianego sporu wydrukował niedawno dwie rozprawki: o bezwzględnej etyce politycznej i o sprawiedliwości. Czy możliwą jest taka etyka bezwzględna? Według niej, w idealnym ustroju politycznym jednostki żyć winny i działać bez wzajemnego tarcia, z możliwie największą korzyścią wspólną. Ideał ten służyć ma za pochodnię, podobnie jak prawo dźwigni matematycznej w praktycznych wyliczeniach mechaniki. Zbytecznym byłoby dowodzić, że owa bezwzględna etyka polityczna to tylko inaczej brzmiały Rousseauizm. Lecz Spencer, rozwinięszy swoją etykę, czyni jedno uzupełnienie, obce potężnemu umysłowi filozofa przeszłowiekowego, mianowicie, że w imię polityki bezwzględnej nie należy rozstrzygać spraw bieżących, a wnioski odpowiednie, nim zostaną wypowiedziane, powinny być „sprawdzone indukcyjnie.“ Cóż to wszystko oznacza? Po prostu tylko to, że wnioski bezwzględnej etyki politycznej, nie sprawdzzone indukcyjnie (przeciwne interesom mieszczaństwa) winny być odrzucone, a sama teoria trzymana jaknajdalej od gruntu praktyki społecznej... Huxley rozumiał już całą dwuznaczność i niebezpieczeństwo takiej pozycji i odwołał się do prawa historycznego. Lecz właśnie tutaj tkwi początek innej komedyi dziejowej. Rousseauizm, jeśli stał się obecnie hasłem dążności nie-mieszczańskich, służy on tylko za środek agitacyjny. Dawna szkoła historyczna odwołała się przeciw apriorystycznemu zaciekaniu społecznym do analizy faktów dziejowych; pojęła ona, że prawo naturalne jest fikcją, a „polityka bezwzględna“ odbiciem wiadomych warunków, wytworem rozwoju historycznego. Badania jej wyznawców, np. Maurera, dostarczyły materiału innej szkole, znanej pod nazwą doktryny materyalistycznego pojmowania dziejów. Historia społeczeństw terytoryalnych — to walka antagonizmów klasowych, prawo — sformułowanie zajętych już lub pożądanego dopiero stanowisk. Każda pozycja zdobyta rozszerza dawną ustawę klasową. „Naturrecht“u“ niema, jest tylko „das erworbene Recht“, a siła klasowa (tj. pięść uzbrojona myślą) wraz z warunkami produkcyjno-technicznymi, rozstrzyga o względzie zdobytego prawa. Zaprzeczenie własności prywatnej ziemskiej jest następstwem istnienia bezrolnych a pracujących tłumów, unaro-

dowiona zaś forma jedyną postacią władania, umożliwioną przez historyczne warunki i rozrost sił produkcyjnych, wymagających centralizacji ekonomicznej. „Prawo zatem naturalne“ do ziemi, wysławione przez najmitów angielskich, jest tylko wypowiedzeniem klasowych interesów na gruncie szczególnego historyczno-ekonomicznego dobytku, Rousseauizm zaś dość zdawkowym sposobem propagandy, a nadto wyrazem słabego rozkrzewienia zasad nowoczesnej krytyki naukowo-społecznej. Przeciwni rozwojowi w tym kierunku Huxley niewiele wskóra nawet ze swoją przyrodzoną nierównością. Jeżeli wśród ludzi będą wyższe umysły i uzdolnienia, natury czynne i bierne, dla każdego znajdzie się odpowiednie miejsce w unarodowionej a zcentralizowanej gospodarce, podobnie jak to widzimy w gminie hinduskiej. Lecz w imię czego ludzie będą wtedy równi w zakresie użycia, zapyta się jakiś rousseauista. Zauważymy, że równość jest ideałem mieszczańskim, który wykwił na podkładzie szczególnego układu interesów i uczuć. A kto ręczy, jakie uczucia zapanują w przyszłości? Być może, zrozumieją potomni, że niema równości pomiędzy ludźmi, że przeciwnie istnieje wielka różnorodność pragnień, potrzeb i uzdolnień. Zamiast jednakowego łokcia dla wszystkich ludzi, przyszłe pokolenia postawią inną a odpowiedniejszą skalę: prawo jednostki do zaspokajania swoich potrzeb i obowiązek pracy na rzecz społeczną według zdolności. To „prawo naturalne“ (prawdopodobnie jakiś metafizyk tak je nazwie) będzie nader odmienne od Rousseauowskiego, okazując tem samem, że jest tylko następstwem i odzwierciedleniem warunków historycznych.

K. R. Żywicki.

## NA TORZE OGÓLNO-DZIEJOWYM.

Nie znam gałęzi wiedzy, któraby dla człowieka bardziej była pożądaną i zarazem trudniejszą od historii ludów. Ilekroć troska o chwilę obecną i przyszłość najbliższą nie przynęcała swym ciężarem strudzonej głowy, mimo wiedzy i woli wkraczamy zazwyczaj myślą w sferę czasów ubiegłych, coraz dalej, coraz głębiej, wiążąc ogniwo z ogniwem, dzień terazniejszy z wczorajszym i onegdajszym. Jakiś urok niepohamowany ciągnie nas w tę macierzystą, bezdenną toń czynów przebrzmiałych. Każda jednostka uspołeczniiona, odczuwająca w sobie tętno ruchu zbiorowego, zwraca się, z coraz to nowym pytaniem na ustach, ku drogocennej a tajemniczej skarbnicy przyczyn, których skutki, niby fale, o łódź żywota biją. Ale od marzycielskich, błędnych wędrówek — do nauki jeszcze daleko. Czemuż bo jest historia narodu, w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu? Kolosalnym obrazem ustąpiowanych a najróżnorodniejszych stanów bytu społecznego w przeszłości; księgą bez początku i końca, olbrzymią, nader ciekawą, chociaż nie wszędzie czytelną. Czemuż będzie wykład jej popularny? Wizerunkiem, przedstawiającym spójny a możliwie jasny zbiór głównych, już to następujących po sobie, już to równoległych ogniw. Podobnie, jak i na owem wielkiem płótnie, wszelki odłam życia — rodzinny, towarzyski, socyalny, polityczny, przemysłowo-handlowy, szkolny, myślicielski, literacko-artystyczny — znajdzie w tej miniaturze swe odzwierciedlenie; drugorzędne wszakże fakty i osoby, rysy ciemne, poglądy sporne pozostać muszą na uboczu. Łatwa teoria, ale trudne zastosowanie: starać się tu bowiem ciągle trzeba o jak najodpowiedniejszy układ i oświetlenie szczegółów, o równowagę wreszcie pomiędzy krancową zwięzłością a rozwlekłością, ową Scyllą i Charybdą metody szkolnej. Trudności powiększą się



w stosunku geometrycznym, gdy przejdziemy na grunt historii ogólnej, zwanej zwykle powszechną, a zwłaszcza na jej terytorium nowożytne. Przedstawiać ona będzie albo cały szereg opowiadań szczególnych (Francya, Niemcy, Anglia i t. d.), albo jednolity, jak najbardziej około pewnych epok zogniskowany całokształt. Pierwszy sposób odznacza się prostotą i o tyle nie wyłącza drugiego, o ile pewne fakty, mające ogólną doniosłość, mogą być zaakcentowane, już to w jednym ze szczegółowych ciągów, już to w osobnych artykułach, stanowiących wstęp lub zakończenie rozdziałów. Drugi przedstawia gotowe ramy do podrecznika, którego zadaniem jest zwięzłość. Musimy tu wiele, bardzo wiele opuszczać, ograniczając się na rozjaśnieniu kilku zjawisk centralnych w promieniu dostrzeganego ich wpływu. Jeżeli bowiem za ós dziejów nowożytnych uznamy takie epoki, jak odrodzenie sztuk i nauk, odkrycia morskie i wynalazki, reformacja religijna i reakcja katolicka, to nie mamy prawa mówić o całym wschodzie słowiańskim, który u danych źródeł wcale niemal się nie odżywia. Zresztą i ogół ludów zachodnich bardzo słabe w niektórych prądach głównych przyjmował uczestnictwo; tak np. odkrycia morskie—nie tylko w Polsce i Czechach, ale także w Niemczech i we Francyi wyraźnem nie odbiły się echem. Można wreszcie dwa te sposoby dowolnie spletać, uwzględniając z jednej strony wybitne tory cywilizacyjne europejskiego zachodu, z drugiej potrzebę praktyczną, która nie pozwala zaniedbywać ziem, choćby najbardziej od ogniska ruchu oddalonych, jeżeli one interesują czytelnika, jako własne lub pokrewne. Takiej dwulicowej metody chwycił się p. Tadeusz Korzon, w swej *Historji nowożytnej* (tom I, 1889). Cały obszar dziejów, od połowy XV-go do zarania XIX-go wieku, dzieli on na cztery wielkie peryody („odrodzenia i odkryć“, „reformacji“, „równowagi politycznej“ i „rewolucyi“, a każdy z nich na kilka podokresów. Niemożność dopasowania historii ziem wschodnio-słowiańskich do stereotypowych szranków, które nasz autor w spadku po swych poprzednikach odziedziczył, uwydatnia się już w konturowej charakterystyce okresów. Pod rubryką np. „czterdziestolecie Filipa II“ umieszczono unię lubelską i wojnę inflancką. Szczególne powikłanie! Wszakże „demon południa“ na te wypadki najmniejszego nie wywiera wpływu; po co je więc z jego imieniem sprzęgać? Historyk trzyma się wszędzie metody.. podwójnej, którą wypadało nazwać *łączno-rozłączną*. Mówiąc np. o odkryciach morskich, umieszcza Vasko-da-Gamę tuż po Bartłomieju Diazie, jakby nie było między nimi ogniwa, oznaczonego rokiem 1492. A dlaczego? Bo nie chce spraw hiszpańskich kojarzyć z portugalskimi. O Krzysztofie Kolumbie rozprawia on pod nagłówkiem: „Tworzenie się (?) Hiszpanii i odkrycie Ameryki.“ Pomijając to, że powstanie jednolitej monarchii na półwyspie pirenejskim było koniecznym wynikiem kilkowiekowej walki, musimy chyba przyznać, iż dzieło nieśmiertelnego genuczyka zostaje w daleko bliższym związku z podróżą Diaza, niż ze zdobyciem Grenady. Gdy mowa o pewnym prądzie ogólnym, należy iść naprzód, pilnie trzymając się wytkniętego toru i porządku chronologicznego, bez względu na to, z jaką narodością mamy do czynienia. Wszakże historia powszechna ma przedstawiać jak największe skupienie rozstrzelonych promieni życia a zjawiska jednorodnie starannie grupować? O tej prawdzie zasadniczej zbyt mało p. Korzon pamięta. Jak Krzysztofa Kolumba rozdzielił z Diazem i Vasko-da-Gamą, tak Kalwiną z Lutrem i Cwilingiuszem. Co gorsza, o Ignacym Lojoli, pierwszym wodzu reakcji katolickiej, dowiadujemy się daleko wcześniej (str. 109), niż o znakomitym reformatorze francuskim (str. 161), którego katechizm wyprzedził przecież na lat kilka

narodziny towarzystwa Jezusowego. Są wprawdzie przeszkody praktyczne, niepozwalające na ścisłe zespolenie faktów pokrewnych; ale do pewnego stopnia przemódz je można. Reforma Lutra, podobnie jak i Kalwina, ciągnie za sobą cały szereg następstw, odgrywających się przeważnie w ramach ziemi, która jest ojczyzną apostoła; obie wszakże są skojarzone ze sobą ideą i rodem, a historyk musi ten ślub niezaprzeczony dobitnie zaakcentować. Dążąc zaś do tego celu, powinien wszelkie zawady usuwać i skarbczyk drugorzędnych szczegółów erudytyjnych odpowiednio ścięć. Powtarzanie imion i faktów, wobec przyjętej jakoby metody synchronistycznej, jest rzeczą zgoła naturalną. Nie pojmujemy jednak, dlaczego autor, wyprowadzwszy Karola VIII i Ludwika XII na widownię wojen włoskich, nie załatwił się nawiasowo z ich rodowodem i wogóle specjalnemi sprawami, dlaczego mówi o nich powtórnie, w rozdziale „Francya i Kalwin“? Wszakże oni obaj z ruchem reformatorsko-religijnym nie wspólnego nie mają? Co nas tu obchodzić może siostra Karola VIII, Anna, lub Klaudya, córka Ludwikowa? Podobne rejestry dynastyczne i drobiazgi są niepożądanym balastem, nawiasem w nawiasie, tamującym rozwój głównego opowiadania.

W pięknej skądinąd a wielce pożytecznej książce p. Korzona spotykamy kilka usterek logiczno-stylowych. „Kościół św. Piotra (mówi on na str. 14) *uważa się za arcydzieło dlatego, że był wznoszony i ozdabiany przez niezrównanych mistrzów*, którzy jednocześnie żyli i wspólnie pracować mogli w owym szczęśliwym dla sztuki, wieku Medyceuszów.“ Dwa takie pojęcia, jak „mistrz“ i „arcydzieło“, przyciągają się wprawdzie nawzajem i nierozłączną, rzecz można, stanowią parę; ale czyż każdy plód pierwszorzędny nawet gieniusza ma być już zjawiskiem nadzwyczajnem? Bazylice Piotrowej areopag sędziów kompetentnych *dlatego* chyba przyznał wyjątkowo okazałe stanowisko w dziedzinie sztuki, że odpowiada ona wszelkim wymaganiom estetycznym, specjalnie wykształconych a czułych na piękno znawców. Mówiąc o szczegółach pierwszej podróży Kolumba, tak się wyraża: „*Przypadek rzrządził*, że w tej szerokości geograficznej ocean Atlantycki posiada największą rozciągłość“ (38). Sądzę, owszem, że wobec teorii powstawania mórz i lądów, ustosunkowanie ich wzajemne w różnych miejscach, jest raczej wynikiem matematycznym, niż przygodą losową; przypadek tylko mógł rzrządzić, iż odkrywca tę właśnie wybrał drogę, co niezawodnie chciał nasz historyk zaznaczyć. O Machiawelim na str. 76 czytamy: „Wielkie znaczenie jego w literaturze zasadza się na tem, że pierwszy po Arystotelesie napisał on systematyczne traktaty o polityce... Ale umiejętność polityki nie jest jego wyłącznym wynalazkiem; znajduje się bowiem w raportach posłów weneckich, florenckich i ministra neapolitańskiego, Jakóba Pontano z końca XV-go wieku.“ Wyrażenie „umiejętność polityki“ jest zanadto ogólne; stąd wynikają sprzeczne pozornie sądy i rzeczywista ciemność stylu. Jeżeli Machiawel uprawiał pole, zorane niegdyś i zasiane przez Arystotelesa, to „umiejętność polityki“ nie jest „wynalazkiem“ ani znakomitego florentczyka, ani współczesnych mu niemal dyplomatów włoskich, lecz gienialnego filozofa greckiego. Autor mówi tu chyba o pewnych torach, ideach, dążnościach, wybitnie charakteryzujących nowożytną politykę, a specjalnie włoskich jej przedstawicieli; szkoda tylko, że jakąś mgłą szarawą myśli swe przyobлека.

Gdy mowa o formie, zanotujemy nawiasowo jedną usterkę gramatyczną. Na str. 330 opowiada autor o losach „ziemi, *zamieszkałej* przez plemiona fińskie i litewskie.“ Wartoby było zgodzić się już raz na to, że *zamieszkałymi* są ludzie, a *zamieszkanymi* — przestrzenie ziemi, okolice i budynki.

Drobną plamką na bogatej w szczególności, starannie wydanej, a pięknymi rysunkami ozdobionej pracy jest daleka od doskonałości transkrypcja nazw cudzoziemskich: wyraz np. *Chievres* ma się wymawiać *Szyjewr*, *Montpensier* — *Mapansije*. Trudno zapewne po polsku oddać brzmienie obce; ale arcy-patryotyczne pielegnowanie owej zagadkowej już dzisiaj w słowach cudzoziemskich dwuzgłoski *yja, ija* — przynajmniej w tym razie powinno być zarzucone: kombinacja *Szyjewr* daleko lepiej odpowiada oryginałowi, niż *Szyjewr*.

Tom pierwszy doprowadza opowiadanie do r. 1648, a całość, jak nas uprzedza autor, zamknąć się ma na kongresie wiedeńskim (1815). Nie śmiałbym historykowi żadnego stąd czynić zarzutu — wolno każdemu zawrzeć swą pracę w mniej lub więcej ciasnym szrankach; ale we wstępie znajduję niebardzo racjonalne umotywowanie przyjętej granicy, i to mię właśnie upoważnia do podniesienia głosu. „Na kongresie wiedeńskim (pisze p. K.) zakończy się wykład naukowy historii powszechniej, chociaż bowiem od owego czasu do chwili obecnej zaszło wiele zmian w układzie politycznym i społecznym, w zasobach wiedzy, udogodnieniu materialnych warunków życia, w pragnieniach i nadziejach świata cywilizowanego; lecz te wszystkie zmiany nie mogą być jeszcze wyjaśnione i wytłomaczone z należytą dokładnością.“ Nasuwa się mimowoli pytanie: jak długo czekać na to będziemy? Czy szanowny autor jest zresztą pewny, że opowiedziane przezeń dzieje starożytne, średniowieczne, a wężsi i nowożytne—nie noszą na sobie tu i owdzie grubej zasłony, której uchylenie będzie zasługą potomnych? Czyż nakoniec dokładniej zna on historję Egiptu, wielkiej wędrówki ludów, wypraw krzyżowych itd., niż np. przyczyny, koleje i skutki wojny o niepodległość Włoch? Wszakże nie brak materiału do dziejów bieżącego stulecia, a kongres berliński (1878) jest podobno słupem granicznym, o który się uczony badacz w swej podróży śmiało oprzeć może. Mnogie próby, przedsiębrane przez obcych, a nawet i współziomków (w skromnej mierze) powinny były zachęcić wytrawnego pracownika do dalszej uprawy ponętnego a plennego pola. Cóż stąd, że wiele jeszcze kwestyj pozostało niewyjaśnionych? O minionym szeregu stuleci daleko mniej wiemy, a przecież rozprawiamy i rozprawiamy bez końca. Dzieło pisarza, choćby najlepsze, wiekiem następny już nie wystarczy. Korzystajmy z obfitych źródeł, jakie mamy pod ręką; potomni je zczasem zbagacą i coś lepszego na szerszym zbudują gruncie.

Praca p. Korzona, chociaż niezupełna, brakiem ładu i symetrii nieco grzesząca, stać będzie wysoko ponad dotychczasowymi u nas w tym rodzaju podręcznikami. Autor, wyborny znawca uprawianej niwy, nie szczepi fałszów ani pół-błędów; zestarzałe poglądy częstokroć na podstawie nowszych badań prostuje; umie czytelnika zaciekawić i wykład uprzyściplnić. Dołączone do tekstu rysunki (w liczbie 64) znakomicie rzecz ułatwiają. Drugiego tomu wyglądamy z niecierpliwością.

A. G. Bem.

## WYNALAZKI.

**Zabijanie zapomocą elektryczności.** Dokonana niedawno w Auburn pod New-Yorkiem próba stracenia przestępcy zapomocą elektryczności dała bardzo ujemne rezultaty. *Indep. Belge* opisuje wykonanie wyroku śmierci na zabójcy Kemmlerze w następującym, okropnym obrazie. Skazaniec, uwiadomiony wcześniej, objął wielki niepokój. W przeddzień egzekucji drżał jak liść i za najlżejszym odgłosem kroków



## LITERATURA I SZTUKA.

## LITERATURA FRANCUSKA.

## Nowe powieści.

„Modernizm“ jest słabą stroną współczesnych powieściopisarzy francuskich. Wszyscy starają się chwycić na uczynku życie, a szczególnie życie psychiczne. A ponieważ najsilniej ściga na siebie uwagę różnobarwna óma bulwarowców, kokotek z półświatka i lwie salonowych, więc romans francuski roztacza przed nami coraz to nowe widoki na wyzłoczone pieczary próżniactwa, demoralizacji i upadku.

Mamy właśnie przed sobą dwa nowe obrazy wyższego towarzystwa paryskiego: *Notre coeur* Guy de Maupassanta i *Un coeur de femme* Bourgeta. Maupassant tracił dotychczas niewątpliwą swój talent na powiastki pornograficzne, bez znaczenia. Większe jego rzeczy, jak „Une vie“ lub „Pierre et Jean“ były nad wyraz słabe. Dopiero „Notre coeur“ otwiera nową erę w jego działalności, erę analizy psychologicznej.

Sceną powieści jest salon pani de Burne, która ma służyć za model t. zw., „femme moderne.“ Fizycznie jest to przepyszna kobieta o bogatych formach i prawidłowych rysach; moralnie — potwór, sztuczna lalka, z oschłym sercem i dość ograniczonym umysłem. Maniery, wychowanie światowe, trochę taktu i śmiałości — wszystko to pozwala jej podbijać serca mężów znakomitych, napełniających jej salon. Do tych należy Maltry, filozof, a raczej światowiec, pozujący na metafizyka, w szarych rękawiczkach; Lamarthe, romansopisarz, dający „preparaty z ludzkiego serca“, próżny jak dziecko i spędzający czas u stóp pięknych pań, w swej „klinice.“ Gdy przechodzi przez salon, pozostawia za sobą falę niepokoju — każda się obawia, aby nie wystąpiła w złym świetle nowej jego powieści. Lamarthe też ich nie szczędzi i traktuje jak pasza: gdy która odwróci wzrok z uwiedlonych jego wdzięków na młodsze oblicze, staje się „klaczą.“ W gruncie jednak Lamarthe bardzo dobrze ocenia kobietę „nowożytną“. Nie będę wam wyliczał innych „znakomitości.“ Wszystko to się kocha lub kochało w M-me de Burne. Ona interesuje się każdym z nich dopóty, dopóki przedstawia coś nowego. Potem przechodzi do następnego. Poprzednich wszakże zatrzymuje uśmiechem, uściśnieniem dłoni, wiele obiecującym spojrzeniem. Samcy dają się omamić; w ten sposób Burne jest wciąż okrażona kolekcją ludzi znakomitych, którzy ją otaczają obłokiem głośniejszych kłótni i cichej pożądliwości. Wielkoświatowa samica panuje nieograniczenie, dzieląc swe względy na równe części pomiędzy posłusznych niewolników.

O miłości z jej strony nie może być mowy: jest ona zbyt „nowożytną“, aby miała zamiar wyrażać w sobie kokieterię na uczucie poważniejsze. Zresztą niedawno pożrebała męża, a takie szczęście dwa razy w życiu się nie zdarza: słodkie więzy małżeństwa miały dla niej wagę kajdan. W rzeczywistości jest ona zajęta tylko swoją osobą: drobna jej dusza napawa ją takim samym zadowoleniem, jak i piękne ciało, gdy zrana, wyszedłszy z kąpieli, siada pomiędzy trzema lustrami i szepece, spoglądając na siebie z tyłu, z przodu i z boków: „Jolie, très jolie!“

Ale obok „femme moderne“ musimy znaleźć i „homme moderne.“ Jest nim André Mariolle, zbławowany bulwarowiec, któremu żadna karyera, oparta na bezpośrednim wyzysku, nie udała się, a skutkiem tego, siedząc na sutej rencie, bawi on się w pesymizm i rozczerzowanie, szukając subtelnych wrażeń. Do spazmów nieaspokojono-

nej próżności dodał masę urojonych cierpień, które skrzętnie wyhodował. Rozbitek taki musi, rozumie się, szukać ostatniej przystani w „miłości.“ Niestety, wszystkie struny woli rozluźniły się w nim, to też nie jest w stanie nadać decydującego impulsu pani de Burne, która po kolei zwróciła się do niego. Jeżeli więc uległa i oddała mu się, to nie dla tego, że wzburzył w niej namietność. O, nie, powodem był dobry obiad, suto zroszony winem i przyjemna przechadzka na brzegu morskim, pobudzająca krew do szybszego krążenia. Gdy Mariolle wraca z p. de Burne i całem towarzystwem do hotelu, udaje się do swego pokoju i, stanawszy u okna, stara się ukoić wzburzoną pożądliwość płciową, wtępić drzwi się otwierają i wchodzi kobieta w białej, nocnej odzieży... Pani de Burne umie się oddać po królewsku, bez próśb i bez wyrzutów sumienia, nie jak drobniomieszczanka grzesznica, lecz jak kobieta rasowa.

Łatwo przewidzieć, iż związek ten staje się wkrótce dla niej nadwyzwyczaj uciążliwym. Pozostaje w tym związku jeszcze przez pewien czas, ale ponieważ wciąż pijaną być nie można, więc jedynie przez dobroć, a może i obowiązkiem. Mariolle zachował tyle delikatności, iż przykro mu jest korzystać ze względów kobiety, która go nie kocha; ucieka na wieś i tam pociesza się ze swą służącą, „mającą ciało nad wyraz piękne.“ Próżność nie pozwala wszakże pani de Burne wypuścić ofiary ze swych rąk; przeto rzuca się ona w pogoń za zbiegiem, i sprowadza go wraz z zakochaną służącą do Paryża. André, mając w domu ładną dziewczynę, więcej będzie przesiadywał w salonie, niż w sypialni pani de Burne. Rozpoczyna się życie we trójkę, które z dodatkiem całej plejady wielbicieli p. de Burne, stanowi jedyne wyjście, jakie może zaspokoić „notre coeur“, serce współczesnego samca i współczesnej samicy. Niedawno jeden z pisarzy francuskich proponował inną kombinację: normalna rodzina składać się będzie z żony, męża legalnego i przyjaciela od serca dla zaspokajania potrzeb uczucia i fantazyi.

Nigdy jeszcze talent Guy de Maupassanta nie rozwinął się tak wspaniale, jak w „Notre coeur“: dzieło to cechuje forma artystyczna, styl przezroczysty i analiza psychologiczna, śledząca najmniejsze rozgałęzienia myśli ludzkiej. Powiedziałbym nawet, iż pod tym względem naśladowuje on Bourgeta, który zwykle bierze jakiś przełom namietności, rozgrywający się między dwojgiem lub trójgiem osób, szczegółowo rozbiiera ich dusze, a potem wprawia je w ruch i życie.

Bohaterką nowej powieści Bourgeta jest pani de Tillières, słodka i wątła margrabina, nadwyzwyczaj namietna. Serce jej otwiera się dla cudzego cierpienia — szczególnie miłosnego — i zawsze współczuje. W ten sposób zakochała się w panu de Poyonne, nieszczęśliwcu, którego żona uciekła z kochankiem. Pani de Tillières lituje się nad p. de Poyonne — litość zdaniem Bourgeta jest niezbędną częścią składową miłości w sercu kobiety — i stara się go pocieszyć. Jego cierpienie, prawdość charakteru i rożgłos — cieszy się wielkim wpływem w parlamencie, jako mówca — wszystko to wyprowadziło główkę naszej bohaterki z równowagi: zdaje się jej, iż kocha. Pan de Poyonne nie pozostał, rozumie się, obojętny na wdzięki swej pocieszycielki: zapomniał o zdradzie pierwszej swej żony i gotuje się wstąpić w powtórne związki małżeńskie.

Tymczasem pani de Tillières przekonywała się, iż to, co przyjmowała za miłość, było tylko uczuciem głębokiej przyjaźni. Złudzenie miłosne trwało w jej sercu kilka miesięcy, dopóki nie spotkała Raymonda Casal, hulaki i rozpustnika, który wpadł jej w oko i rozniecił płomień nieklamany w sercu. Naprawdę margrabina walczy ze swym uczuciem, naprawdę tłumaczy sobie, iż Raymond jest nieponiem, przydatnym tylko na podporę klubów i szynków. Moc-

wydawał przeraźliwe okrzyki, sądząc, że już nadeszła ostatnia jego chwila. Wieczorem jeszcze błagał kapłana o wstawienie się, aby go nie zabijano elektrycznością, tylko powieszono. Z rana znaleziono go zemdlonym. Hotele od dwóch dni przepełnione były ciekawymi, którzy bądź chcieli być świadkami wykonania wyroku, bądź pragnęli mieć pierwszą wiadomość o jego przebiegu. Władze jednak przedsięwzięły odpowiednie środki, aby nie dopuścić tłumowi, lecz tylko lekarzy, elektryków, urzędników oraz kilku przedstawicieli prasy. Wbrew przewidywaniu uczonych, pierwsze wyładowanie elektryczne, chociaż dokonane z wielką starannością, nie było śmiertelnym. Kemmler otrzymał straszne uderzenie, które potwornie wykrzywiło mu twarz; żył jednak. Obecni rzeczoznawcy utrzymywali, że stracił przytomność, jest to wszakże wątpliwem. Po kilkunastominutowej przerwie puszczonego drugiego prądu, trwającego 4½ minuty (pierwszy trwał tylko 15 sekund). Tym razem elektryczność dokonała swego dzieła. Wstrętna woń ze spalanej odzieży i ciała rozeszła się naokoło — i skazaniec żyć przestał. Zanim wyjdzie urzędowe sprawozdanie z tej egzekucji, można już dziś orzec, że elektryczność, przynajmniej w obecnych warunkach, nie jest środkiem właściwym do trawienia ludzi.

## Nowy sposób otrzymywania alkoholu.

Wiek za gazetami niemieckimi podaje szczegółowo o głośnym doświadczeniu prof. Wallrafa, które ma stanowić przewrót w dotychczasowej fabrykacji. Dnia 31 marca r. b. zebrało się w Berlinie pod przewodnictwem ministra skarbu grono fabrykantów alkoholu i przystąpiło do obejrzenia aparatu pomysłu prof. Wallrafa, poczem wprowadzono do przyrządu 100 funtów kartofli, sparzonych poprzednio i zmienionych na papkę. Masa ta spoczywa na dziurkowatej płycie, pod którą mieści się system rur; następnie prof. Wallraf polecił wlać na wierzch 14 litrów płynu, którego skład stanowi jego sekret. Wynalazca ograniczył się tylko na oświadczeniu, że do otrzymania płynu doszedł przez rozpuszczenie w wodzie pewnych przetworów chemicznych, bardzo tanich i pospolitych w wielu okolicach.

Po wylaniu płynu na papkę zamyka się aparat przykrywką, zaopatrzoną od strony wewnętrznej w płytę, która może być dowolnie opuszczona do wnętrza przyrządu. Na tem praca była ukończona i od tej chwili produkcja alkoholu odbywała się już sama przez się.

Aparat pozostawiono tak przez 3½ godzin. Po upływie tego czasu prof. Wallraf nadał jeszcze kilka obrotów owej płycie wewnętrznej, utworzył kurek i czysty, przejrzysty alkohol ukazał się oczom obecnych. Wszyscy znajdujący się przy próbie kosztowali płynu i uznali jednogłośnie, że ma smak wyborny.

Powyższe doświadczenie dowodzi przeto, że można otrzymać alkohol z kartofli za pomocą prostej kąpieli chemicznej; destylacja jest wobec tego zbyteczna, a nadto, co stanowi rzecz największej wagi dla skarbu państwa, każdy będzie mógł wyprodukować u siebie w ciągu 3 do 4 godzin alkohol wyższy od znajdującego się obecnie w handlu; dość bowiem przed samą operacją oskrobać kartofle, aby otrzymać alkohol czysty chemicznie, bez przymieszek olejnych.

Ale wynalazek ten rokuje inne jeszcze korzyści. Mianowicie nie tylko gatunek alkoholu otrzymanego tą drogą jest lepszy, lecz również podnosi się wydajność produktu. Obecnie 100 funtów kartofli daje 6 litrów 100° alkoholu; w opisanym zaś aparacie ilość ta wynosi 8¼ litrów.

Wreszcie masy, pozostające z fabrykacji, używano podobno z bardzo dobrym skutkiem w papierniach.

Powiadają, iż wyniki prób z aparatem Wallrafa zrobiły takie wrażenie w sferach rządowych niemieckich, że minister skarbu ofiarował wynalazcy bardzo wysoką sumę za odstąpienie na własność rządu sekretu fabrykacji.



magnetyczna, przeciw której czuje się bezsilną, ciągnie ją do niego. Z sercem trudna rada. Wówczas wybucha w niej bolesna walka. Kocha dwóch mężczyzn rozmaitem uczuciem. Pana de Poyonne szanuje, kocha za jego cnoty, delikatność, szlachetność instynktów; drży na myśl o torturach, jakie zada istocie, dla której stała się źródłem życia. Ale z drugiej strony nie mniejsze wzburzenie budzi w niej myśl o Raymondzie i widok jego mężkiej, silnej postawy. On się jej podoba, pomimo swych wad, a może właśnie dla nich, dzięki pewnemu pokrewieństwu, nie mającemu żadnych określonych przyczyn. Serce biednej kobiety rozdziera się i krwawi pod wpływem walki tych rozmaitych uczuć, ale możecie sobie wyobrazić, jaka burza w niem powstaje, na wiadomość, iż wielbiciel jej chce rozstrzygnąć fałszywą sytuację z bronią w rękę. Istotnie, podejrzewając oddawna swe współzawodnictwo, nienawidzą się wzajemnie i przychodzą do wniosku, iż jedyny środek wyjścia przedstawia pojedynek. Lecz pani de Tillieres zrozpaczona, rozdarta pomiędzy dwa uczucia, z których jedno, przyjaźni ciągnie ją do Poyonne'a, a drugie, miłości, do Casall'a, ucieka od obu i zamyka się w klasztorze, z intencją zakończenia w nim dni swoich. W taki sposób Bourget rozcina swój węzeł gordyjski.

L. W.

## ALEKSANDER GŁOWACKI

(Bolesław Prus).

### H.

Wielce nierównomierna wartość tych artykułów, które podpisywał swoim nazwiskiem i tych utworów, pod które kładł pseudonym, sprawiła to, że zarówno literatura, jak ogół prawie nie znają drugiego, tylko pierwszy. Pseudonym zrosł się z nim tak mocno, że nawet ze stosunków prywatnych wyparł nazwisko, które pozostało jakimś nie mówiącym wspomnieniem. Tylko dla kolegów szkolnych przechrzczonego autora ma ono pewne znaczenie. Głowacki bowiem bardzo wcześnie zdradzał jakąś oryginalność, której niepodobna było określić i ocenić, która jednakże znamiłowała umysł niepospolity. Towarzysze jego gimnazyjni pamiętają, że nauczyciel języka polskiego, oddając przejrane ćwiczenia, mawiał zwykle: „Z p. Głowackim o jego pracy kilka słów pomówimy.“ Oprócz tych ćwiczeń celował on w matematyce i humorystyce. Zartobliwe łatkę, przypinane profesorom i kolegom, które obiegały klasę, wydobywanie śmieszności tam, gdzie ona się kryła, lub narzucanie tam, gdzie jej nie było, karykaturowanie rzeczy i osób, tłumaczenie wszystkiego na język drwiny, przeszkakiwanie w czapeczce z dzwonekami od przedmiotów najbłahszych do najbardziej uświęconych, dowcip i błazenstwa, nieprzebaczające nikomu i niczemu — oto były pierwiastki tego humoru, rozlewającego się w zakresie wiedzy i pojęć gimnazysty. Była to jedyna epoka śmiałej wolności myślności w rozwoju duchowym Głowackiego. Naturalnie, bawiąc się temi zawiazkami przyszłego talentu, lekceważono je, i jeżeli on sam lub ktokolwiek myślał o jego przyszłości, przypuszczał, że będzie to kiedyś znakomity — matematyk. Z najwyższym też odznaczeniem za postępy w tej nauce ukończył gimnazjum i wstąpił na wydział matematyczny w Szkole Głównej. Od tej chwili przechodzi on drogę zygawkową, coraz bardziej odsuwając się od kierunku, który mu wskazywano i który sam dla swych zdolności wykreślił. Po dwu latach porzuca studia uniwersyteckie i bez planu chwytą się doraźnych zarobków (pra-

cjuje u fotografa, daje lekcje itd.), które szybko zmienia, a wreszcie wpada w jakąś apatię i chorobę woli. Koledzy wyciągają go z tego stanu i... nakłaniają do zajęć literackich. Uwierzyć trudno, że dokonywają tego z wielkim wysiłkiem namowy. Głowacki czuł pociąg do pióra, ale bronił się pokusie. Wreszcie zaczyna pisać... ciężko, rodzono, bezkrwiste artykuły społeczno-pedagogiczne do *Opiekuna domowego*. Były to krople zdrowego rozsądku, rozpuszczone w zwyczajnej frazeologii. Beletrystykę omija, tryskający coraz żywiej humor rozlewa jedynie w stosunkach prywatnych, poświęcając mu na ofiarę również własne artykuły. W owym czasie *Przegląd tygodniowy* był jedynym obozem młodych zapasników literackich, walczących pod sztandarem postępu. Do tego obozu przyczepił się luźnie Głowacki, bardziej jako ciekawy gość, niż jako bojownik. Bywał na naradach redakcyjnych, ale czynnego udziału w piśmie nie brał. Raziła go w niem zbyt czerwona chorągiew, zbyt zaczepna taktyka. Natomiast gdy z *Przeglądu* wyłoniły się dwie kolonie — *Opiekun domowy* (Chmielewski, Ochrowicz i in.), oraz *Niwa* (Meyet, Ochimowski, Plebiński i in.) — głoszące „postęp umiarkowany“ i po części walczące z *Przeglądem*, Głowacki przyłączył się do nich bądź jako współredaktor, bądź jako współpracownik. Ale zawsze był tylko albo kontrolerem, albo kaznodzieją zdrowego rozsądku, albo tłumaczem „pozytywizmu.“ Cała ta praca, z której czasami drwił, widocznie nie odpowiadała jego naturze i nie zaspakajała jego potrzeb umysłowych, skoro znowu zamienił ją na zajęcie robotnicze przy kowadle w fabryce Lilpopa i Rau, którą opuścił po kilku miesiącach leczniczej dla jego złudzeń próby. Te nie obiecyujące pierwsze występy literackie, te dziwne przeskoki od roli socjologa do robotnika fabrycznego miały swoją przyczynę w istocie jego talentu i ukształcenia. Zwykle młodość wchodzi do literatury poważną, odzywa się głosem uroczystym, kaznodziejsko-profesorskim. Pragnie ona tą postawą i tym tonem dopełnić swój wiek i nadać sobie dojrzałość. Śmiać się ze świata zaczyna człowiek dopiero wtedy, kiedy nie obawia się zarzutu młokosowstwa i pustoty. Toż samo zrobił Głowacki. Ale ponieważ nie przeszedł systematycznych studiów uniwersyteckich, ponieważ skłonność do matematyki odciągała go od samouctwa w tej dziedzinie, w której mógł zdobyć naukę potrzebną dla dziennikarza, ponieważ skromne zasoby wiedzy nie dawały mu momentalnej podstawy dla wystąpienia śmiałych, dla krytyki i reformatorstwa w imię nowych zasad, więc stawiał kroki lekko, niechętnie, oparty głównie na zdrowym rozsądku. Badacz literatury łatwo przytem zauważył może, że ów „zdrowy rozsądek“, angielski *common sense*, jest znamienne przynależnością, duchem doradczym wszystkich znakomitych humorystów. Z tem zwierciadłem, odbijającym każdą śmieszność, chodzą oni po świecie, tym probierzem sprawdzają wartość wszelkich myśli i uczuć, na tych szalach waga każdy owoc życia i pracy. Przed tym trybunałem, który liczy prawie tylu sędziów, ile ludzkość głów, przegrać może sprawę najgłębsza filozofia i najszczytniejsza poezja. Jeżeli pierwsza przed nim stanie z twierdzeniem, że to, co widzimy, jest wytworem naszego ducha, lub druga z opowieścią o Prometeuszu, łatwo będą przekonane, że prawią niedorzeczności. Wszakże nawet ktoś radził uderzyć filozofa kijem dla dowiedzenia mu, że dostał po plecach nie „wytworem własnej myśli.“ Siecią „zdrowego rozsądku“ wyłowić można ze świata daleko więcej głupstw, niż się w nim znajduje, bo ona oprócz rzeczywistych zgarnia i pozorne, których ta ograniczona w swym pojmowaniu władza zrozumieć nie może. Nic też dziwnego, że humorysta tę sieć w ton życia ciągle zapuszcza.

Humorystą urodzonym był niewątpliwie Głowacki, a jeżeli nie od razu wystąpił w tej roli, to wynikało z właściwego młodości poważnego nastroju przy pierwszym wejściu na arenę publiczną i z nieuznania dla tego rodzaju talentów. Filozof lub poeta znajdują w literaturze przyjęcie zaszczytne, zartowniś — lekceważące. Gdyby mógł roztoczyć całą skalę swych uzdolnień, oceniono by go natychmiast; ale on zwykle w początkach jest śmieszkim, płytkim i niewybrednym w pomysłach kpinkarzem. Inaczej patrzmy na Thackeraya, Dickensa, I. Pawła Richtera lub Lama, gdy staną się wielkimi komikami na scenie literatury, a inaczej gdy dopiero debiutują w niej konceptami. Wtedy jeszcze nie wiadomo, czy to będą pospolite błazny, czy znakomici satyrycy.

Oto były powody, które Głowackiego długo wstrzymywały zdala od właściwego pola, które wytwarzały w nim niezadowolenie z pracy literackiej i popychały w kilku zawrotach do mechanicznej.

Po raz pierwszy użył on swego talentu właściwie i po raz pierwszy osłonił się pseudonymem, którego dotąd nie zdjął, w *Opiekunie Domowym* (1872), w „Listach ze starego obozu.“ Jakże on miał wówczas mniemanie o najgłówniejszym nerwie swego umysłu, świadczy nie tylko ów kaptur, ale także i godło, jakie później umieścił na zbiorce, do którego owe „listy“ włączył: „Dobry humor jest jak oset, który, chętnie wyrasta na zwaliskach, kaleczy dobrze uformowaną głębię a cieszy niewymownie osłów.“ Humor tedy owa błyskawica, która „zabija ofiarę, rozświecając widnokrąg“, był, według niego, strawą istot posłednich. W tej wszakże pierwocinie Prusa przeważał jeszcze zdrowy rozsądek. Doświadczony wuj, uśmiechając się kątem ust z wad ludzkich, prawi siostrzeńcowi „kazanie“ z takim sensem moralnym: Zawody spotykają nas między innymi dlatego, że nazbyt często się łudzi my. Łudzimy się w pojmowaniu natury szczęścia, w pojmowaniu praw kierujących życiem, a wreszcie w pojmowaniu naszej osobistej wartości. Przyczyną tych złudzeń jest nieznanie życia codziennego.“ A więc: „wielką ci w tej pracy (badania życia) usługę odda dziennik, systematycznie ułożony i porządnie prowadzony, w którym na właściwym miejscu powinienes mieć spis twoich ruchomości, stosunków, celów, obowiązków; notatki, dotyczące wydatków bieżących, zobowiązań, przeczytanych książek, pragnień przykrości, przyjemności, a w końcu uwagi nad życiem. Takie rachunki wykonywaj co dzień, odczytuj co tydzień, co miesiąc, wreszcie co rok, nigdy nie spuszczaaj z uwagi tego, co się dzieje w tobie i około ciebie, a wówczas przekonasz się (!), że życiem kierują niewzruszone prawa.“ W radzie tej nie widzimy ani włosa filozofa, a natomiast wychyla się z nich cała peruka *Schulmeistra* — nauczyciela zdrowego rozsądku. Tu i owdzie streszczone i za swój świeży blask pochwalone iskry humoru zagniliły Prusa do przechylenia się ku bożkowi śmiechu. Pochodzące z owej epoki jego żarty (prozą i wierszem) wyszły osobno we wspomnianym zbiorze p. t. „To i owo, właściwie zaś ani to, ani owo, 48 powiastek dla pełnoletnich dzieci“ (Warszawa 1874). Tytuł wyborny, bo jest to rzeczywiście „ani to, ani owo“, a jeśli dla pełnoletnich, to tylko dzieci. Prus nazwał go w dedykacji „kielechem gorczy, nudów, przywidzeń i lichych konceptów.“ Najwięcej w tej mieszaninie jest kropel ostatnich. Warto przeczytać tę książkę dla przekonania się, jak długą nieraz drogę przechodzi w swym rozwoju talent i jak wielka odległość dzieli najniższy jego stopień od najwyższych. Nieraz bowiem zdaje się, że te „powiastki“ pisał Rozbicki. Ktoś obliczając się z cukiernikiem za kawę i ciastka, nie może zrozumieć, że 10 i 15 to stanowi razem 25 kop.; nauczyciel pytając: na czem zależy szczęście człowieka, podpowiada uczniom: na..., a je-



den z nich kończy: nalesnik; to znowu pasterz śpiewa po stracie kochanki:

Próżno ci wonne kwiecie ofiarował  
I na kiermaszu pierścionki kupował  
Próżno cię gonili... Tyś uciekła żytem  
Przed Agapitem,

A jednakże obok bezmyślnych konceptów obok badyła zabarwił się czasem w owym zbiorku kwiatek dowcipu, który dla uważnego wzroku świadczył, że z gruntu tego wyrosnąć mogą kiedyś piękne i oryginalne postacie humoru. Podobne znaki dobrej wroźby znaleźć można było w *Kłopotach babuni* (1873), chociaż utwór ten jest także zwitkiem dziecinnych konceptów w staro-kalendarzowym stylu. Prus bowiem, zaciągnięty wówczas do współpracownictwa w pismach humorystycznych i kalendarzach, nie dostrzegł jeszcze, że może kusie się o lepsze wienie, niż wawrzyn Rejowski figlików.

Widocznym postępowaniem zarówno w technice, jak i wyborze przedmiotu była powiastka *Pałac i rudera* (Warszawa 1876). Chociaż ona swą wartością artystyczną nie dorównywała późniejszemu, jest to typowy utwór Prusa — pierwsze ogniwo w łańcuchu jego tragikomedij. Prawie wszystko, co później wyszło z pod jego pióra w zakresie powieściowym, nosiło w sobie pierwiastki *Pałacu i rudery*, prawie zawsze był to: ponury dramat w żartobliwym oświeśleniu, niedola przeciwstawiona zbyt kowi, marzycielstwo wynalazcze szukające środków do urzeczywistnienia swych pomysłów, szlachetni dobrodziejcy zakładający kasy dla biedaków i wyrabiający rozmaite plasterki, które sprawiają ulgę nędzy, ale jej nie goją, frazesowa filantropia, pyszałkowata głupota i t. d., a po nad tym smutno-wesołym obrazem unoszące się dwa duchy zapłakane: liłość i zdrowy rozsądek. Jeśli humorysta zechce być poważnym, to zwykle jest poważniejszym, niż mówca pogrzebowy; gdy zechce być dramatycznym, wpada natychmiast w melodramatyczność. Wahadło jego umysłu zatrzymuje się tylko na krańcach przeciwnych, nigdy w środku. Przyzwyczajony do przesady w jednym kierunku, nie może jej ustrzedz się w drugim. Wszystkie też powieści Prusa z cyklu tragikomedij obok rześnionych wytrysków śmiechu toczą strumienie krwi i łez łożyskiem melodramatu. W *pałacu*, a raczej zwykłej kamienicy wśród ubogich domków, mieszka jej właściciel z wnuczką, Piołunowicz, który pali fajkę z siedmiu cybuchów, ponazywanych według dni tygodnia, przysnuje się, przewraca kiołki na gimnastyce pokojowej i jest prezesem „naukowo-filantropijnego towarzystwa.” Zbiera się ono u niego dla kolacji i obrad nad pauperyzmem. *Rudery*, naprzeciwko pałacu, zajmuje z wygłodzoną i schorzałą rodziną biedak Hoff, który pracuje nad maszyną, mającą „zastąpić lokomotywy, młyny i wszystko.” Kiedyś był zamożnym. Razu pewnego podczas uroczystości chrzcina wszedł do niego nędzarz z siostrą i jej synem, prosząc o przysługę i jałmużnę: wyrzucono żebraków. Kobieta umarła, a jej brat, zostawszy później lichwiarzem, wyteżył wszystkie siły dla zebrania majątku siostrzeńcowi i pomszczenia się na okrutnym Hoffie. Jakżo zrujnował go i wydziedziczył nawet z rudery. Wnuczkę Piołunowicza pokochał świeżo przybyły z zagranicy malarz Gustaw Wolski, który przyjmując udział w obradach „towarzystwa naukowo-filantropijnego,” słowem i przykładem nakłania deklamatorów do miłosierdzia czynnego. Dzięki kochającemu go wujowi, bogatemu finansistcie, może sam ofiarować wiele. Zebrawszy naprzód składkę dla Hoffa, udaje się z członkami towarzystwa do rudery, gdzie zastaje lichwiarza, który już ją nabył za kwitki i w którym poznaje swego wuja, zamaskowanego niebieskimi okularami. Podczas gdy inni odeszli, on ukrył się w sieni. Lichwiarz, broniąc się od napaści zięcia

Hoffa, kryminalisty, który chciał mu odebrać przyniesione pieniądze, strzelił i zabił Gustawa.

Ten osłonięty tajemniczością dwuosobowy lichwiarz, przebywający w dwu mieszkaniach pod dwoma nazwiskami, te niebieskie okulary, ta jego długoletnia i nienasycona zemsta, akt wywłaszczenia spisujący wobec opryszków, wśród piorunów burzy i śmierci dwu istot, te zwłoki biednej Heleny (wnuczki Hoffa), „złożone (w mieszkaniu Piołunowicza) na memoryale o pauperyzmie i przykryte protokołami posiedzeń towarzystwa filantropijnego” — wszystko to są środki artystyczne starego melodramatu. Natomiast szczery i oryginalny humor mieści się w charakterystyce gadających filantropów, którzy kłócą się o błahe szczegóły formalistyki wtedy, kiedy nędza kasa i zagryza swoje ofiary. Widmo jej, przesuwające się wśród tego sytego grona, chociaż nieraz zbyt sztucznie wprowadzone, odbija wybornie na swym cieniu śmieszność filantropii, która karmi głodnych pustymi słowami.

(D. c. n.).

## ROMUALD HUBE.

Zakończył życie pracowite i owocne, gdyż 87 jego lat nie zmarnował i w nauce trwałe ślady swej działalności zostawił. Kształcił się w szkole pijarów, następnie w uniwersytecie warszawskim (1823), a wreszcie w berlińskim. Wróciwszy do Warszawy jako 23-letni młodzieniec, rozpoczął w uniwersytecie wykład prawa karnego. W r. 1832 zostaje prokuratorem sądu kryminalnego, w 1834 członkiem komisji prawodawczej dla Królestwa Polskiego, a w końcu jej prezesem. Od r. 1843 jednocześnie wykłada na uniwersytecie petersburskim historię prawodawstwa polskiego, oraz prawo karne i administracyjne. Do tej epoki należy jego misja poselska łącznie z hr. Błudowem do papieża Grzegorza XVI i Piusa IX.

Od r. 1861 piastuje przez jakiś czas godność dyrektora głównego Komisji sprawiedliwości w Warszawie, później zostaje stałym członkiem Rady stanu Królestwa Polskiego. Na stanowisku senatora i członka Rady państwa zakończył swą karierę urzędniczą.

Karyera ta nie odciągnęła go od badań naukowych w dziedzinie prawa. Wynik tych badań złożył w długim szeregu dzieł i rozpraw łacińskich, polskich, francuskich, z których ważniejsze wymieniamy: „O teoriach prawa kryminalnego” (1828), „Uwagi nad systematem kodeksu cywilnego francuskiego” (1829), „O dawnych pisarzach prawa karnego w Polsce” (1830), „Antiquissimae constitutiones synodales provinciae Gnesnensis” (1856), „Przyczynek do objaśnienia statutu wiślickiego” (1853), „Kodeks cywilny włoski” (1866), „Histoire de la formation de la loi bourguignonne” (1867); „La loi Salique” (1867), „O znaczeniu prawa rzymskiego i rzymsko-byzantyńskiego u ludów słowiańskich” (1868), „Historia praw karnych słowiańskich” (1870), „Le code civil Italien” (1872), „O datach nadawanych statutom Kazimierza Wielkiego” (1871), „Kodeks dyplomatyczny tyniecki” (1872), „Prawo polskie w wieku XVIII” (1875), „Statuta niesławskie” (1875), „Roty przysięg krakowskich z końca wieku XIV” (1875) i inne.

Zszedł więc ze świata, dobrze mu się zasłużywszy.

## LUDWIK NEUGEBAUER.

Zmarł nagle w Berlinie podczas kongresu lekarskiego. Był to jeden z najuczeńszych medyków naszych. Przebywał początkowo praktykę prowincjonalną, powołany został do Warszawy na profesora anatomii, a później akuszerii w Akademii medyko-chirurgicznej, z której przeszedł do Szkoły Głównej i uniwersytetu.

Jest on autorem „Anatomii opisowej ciała ludzkiego” według Hirtla, oraz „Wykładu akuszerii.”

Liczył lat 69.

## FEJLETON.

## LIBERUM VETO.

Podwyższona temperatura w Towarzystwie wioślarskim. — Leczenie prysznicem. — Coraz nowe gabinety. — Przestroga dla *peuple souverain*. — Fakt należący do reguły. — Uzupełnienie naszej pedagogiki. — Kartka statystyczna ku uciesze *Petit Journala*. — Jarmyński. — Męczeństwo zrozumiałe dla tych tylko, którzy je cierpią. — Dwa tematy do obrazków dla pism ilustrowanych: wyratowany z wody nędzarz i koń-tulacz.

Byłoby to dość racjonalnem, ażeby w wielkie skwary zajmować się Towarzystwem wioślarskiem. Bo naprzód jego członkowie, uczęszczając na nadzwyczajne zebrania w przystani, możeby przy tej sposobności wykapali się i posunęli w sztuce pływania, której gwałtem od nich zaczęto wymagać; powtóre może od tej wodnej instytucji przynajmniej powiadby jakiś orzeźwiający chłód, którego skądinąd doczekać się niepodobna. Tak zapewne mniemano, ale — niestety — przy procesach rozkładu następuje zwykle podwyżka temperatury. A Towarzystwo ulega rozkładowi i znajduje się w gorączce, którą pisma chcą uśmierzyć zimnymi okładami i natryskami. Po obaleniu na nadzwyczajnem zebraniu uchwały, zaostrażającej regulamin wioślarski, komitet w całym składzie podał się do dymisji i zwołał drugie zgromadzenie dla wybrania nowego zarządu. Tymczasem niektóre pisma sprawiają konfederatom mony prysznic. *Kurier codzienny* powiada im: Nie sądź, o *peuple souverain*, niespokojnie wywijający mieczem „powszechnego głosowania,” że wolno ci lekkomyślnie ścinać głowy ludziom, których obdarzasz swem zaufaniem. Muszą oni bowiem, obok zaszczytów, dźwigać ciężary swych stanowisk, za które należy im się wdzięczność. „Małe ambicje” nie powinny podkopywać instytucji, która stać musi na ładzie i karność. „Ta kardynalna wada panuje zbyt silnie i zbyt długo; stąd też pochodzą owe ciągłe zmiany „gabinetów,” które instytucji nie wypadają wcale na dobre, a które doprowadzą w końcu do tego wyniku, że nikt odpowiedni nie zechce przyjmować mandatów, narażających ludzi poważnych na zależność od młodzieńczych kaprysów.” Wiadomo czytelnikom *Prawdy*, że po za bardzo nielicznymi wyjątkami nie wierzymy w trwałość i prawidłowość rozwoju stowarzyszeń polskich. Co w naturze ludzkiej wytworzyły setki lat, tego nie zniszczą dziesiątki. W całym zaś życiu historycznym byliśmy indywidualistami, niezdolnymi do organizacji i pracy zbiorowej, działającymi w rozsypce i rozproszeniu. Dwu przypadkiem obok siebie postawionych Niemców natychmiast się skleja, dwu zsytych i skutych Polaków w coperdziej się rozrywa. To też o ile przyklaskujemy wszelkim nowopowstałym stowarzyszeniom, o tyle nie ludzimy się co do ich przyszłości. Dla nas przeto niesnaski w łonie Towarzystwa wioślarskiego nie są żadną niespodzianką, bo należą do reguły. Żaden uorganizowany zbiór ludzi, żadna instytucja, żaden wiec, żaden chór nie może istnieć bez karność, bez szczerzego poczucia obowiązku szanowania prawa. My zaś rozumiemy tylko mus opatrzonej siłą, ale chętnie łamiemy bezwładny i dobrowolnie przyjęty. Dusza Polaka wzdryga się na myśl, ażeby ktoś miał mu rozkazywać, jeżeli ten ktoś nie ma prawa



i mocy ukarać go za nieposłuszeństwo. Każdy, wybraawszy sobie zwierzchnika, wkrótce pragnie mu pokazać, że „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie.“ Zamiast tedy rzucać groch na ścianę, który korcami marnujemy w bezskutecznych moralach, daleko pożyteczniej byłoby — nie dla nawrócenia niepoprawnych, ale dla rozjaśnienia natury społeczeństwa — zbadać porównawczo: ile awantur i zmian gabinetów zdarzyło się w niemieckim Yacht-klubie podczas jego długiego żywota, a ile w polskim Towarzystwie wioślarskim podczas krótkiego. Z pewnością znacznie już prześcignęliśmy Niemców w tym kunsztie.

W chwili, kiedy paryski *Petit Journal* ogłosił, że doszedł do miliona abonentów i 14 milionów franków rocznego dochodu, pouczającą jest notatka statystyczna *Kurjera codziennego* o prasie warszawskiej. Mamy tedy 10 pism codziennych, a 26 tygodniowych i miesięcznych. Byłoby tego dosyć, ale inaczej mówi prenumerata. Otóż zaledwie trzy gazety wysyłały (w lipcu r. b.) przez pocztę warszawską więcej, niż po 3,000 egzemplarzy, niektóre nie dosięgały nawet tysiąca. Tygodniki i miesięczniki (w znacznej części rozchodzące się drogą księgarską) nie wyrażają swych nakładów w wykazach pocztowych, ale i te cyfry są charakterystyczne. Otóż z tej kategorii zaledwie jedno pismo (*Gazeta święteczna*) wysyłało więcej, niż 3,000 egzemplarzy, a tylko cztery około 2,000, piętnaście zaś nie przeszło 500. Nadto tygodniki (niezaspakajające zwykle powszedniej ciekawości, lecz mające charakter naukowy) rozchodzą się przeważnie w okolicach kolei południowo-zachodnich, petersbursko-warszawskiej, poleskich, libawo-romeńskiej i moskiewsko-brzeskiej, to znaczy, że dla mieszkańców Królestwa Polskiego są one najmniej potrzebne — o czym wszystkim redakcyom wiadomo oddawna. Według przybliżonego rachunku *Kurjera*, wychodzi u nas w kraju około 120,000 egzemplarzy pism peryodycznych, a przypuszczając, że każde czyta 5 osób, mamy 600,000 czytelników. 120,000 prenumeratów (nie strącając tych, którzy abonują po kilka pism) i 600,000 czytelników — cóż ty na to *Petit Journalu*? Gdzieżbyś ty pomieścił się u nas ze swoim milionem? „Szóste mocarstwo“ u nas małeńkie, nie wyrównywa wielu gminom zagranicznym. A kurczy się jeszcze z każdym rokiem. Jeżeli tak dalej pójdzie, za 50 lat dziadus opowiadać będzie wnukom pod lipą:

— Ho, ho, robaczki, my mamy piękną przeszłość! Za moich czasów wychodziło trzydzieści kilka pism peryodycznych w samej Warszawie, a niektóre dosięgały tysiąca egzemplarzy. Żadne nie liczyło mniej, niż 200 abonentów — nie tak, jak dzisiaj, co wszystkich obsługują *Kuryerek*, *Obrazek* i *Ilustrowany*.

Takie to będziemy mieli niegdyś piękne wspomnienia historyczne.

Dziwnie przykre wspomnienie pozostał mi w pamięci świeżo zmarły rzeźbiarz Jarzymowski. Wyobraźcie sobie suchotnika z zapadłymi policzkami, z rozgorączkowanym wzrokiem, w poszarpanem ubraniu i dawno niepranej bieliznie — na tle pustego pokoju, w którym obok tapczana bez poduszki, derą przykrytego, znajduje się jedno krzesło z wydartem siedzeniem trzcinowym, butelka z osadzoną w niej świecą, kilka rozpoczętych robót i kupka gliny — więcej nic, literalnie nie! Tak mieszkał twórca „Fury żydowskiej“, która w Warszawie zwróciła na niego uwagę, wielu dzieł terakotowych i (do wspólni z Kurzawą) projektu na pomnik Mickiewicza. Pisma ilustrowane pokazują nam zbytekowny gabinet Piotra Lottiego lub Edisona; czemu nam nie pokazać „gabinetu“ Jarzymowskiego? Byłby to i obrazek swojski i pouczający, bo wiedzielibyśmy, w jak rozkosznych gniazdach przebywają u nas orleńcy Apolina. Jarzymowski mógł nosić w sobie zarod-

ki choroby, ale stanowczo spalił się w ogniu artystycznym, rozdmuchiwanym przez nędzę. Żaden wyrobnik nie żyje w dokuczliwszem i okropniejszym ubóstwie. Był to Łazarz — jedzony przez chorobę i niedostatek. Nieraz gdy mówił, dostrzegałeś w ustach niemoc głodu. I ten człowiek miał lotną fantazję, marzył o śmiałych kompozycjach! Naiwne dziecię, bawiące się pod gilotyną losu. Trudno żałować takiego męczennika; lepiej że zasnął w ziemi, która jego bóle ukoili, niż miał cierpieć na torturach z niezaspokojoną nigdy tęsknotą do swych mar uroczych. Życie nie mogło mu dać nic lepszego nad śmierć. Bo artysta biedny, bezsilny w swej sile, pozerany przez własne, nigdy niedoścignione ideały, jest potępieniem najstraszniejszego z piekieł, w którym żona, dzieci rodzina stają się jego tyranami, a rozszarty wilk, piorun, zabójca — litościwym dobroczyńcą. Wy, ciąża obrosła dostatkiem, a dusze nieoskrzydłone pragnieniem wlotu w krainę poezji — nigdy tego nie zrozumiecie, co to znaczy być bezlotkiem.

Tydzień ubiegły dostarczył pismom ilustrowanym kilka przedmiotów daleko lepszych, niż gabinet P. Lottiego. Bo przyznajcie, czy to nie piękny obrazek, którego nikt nie przeniósł na płótno lub papier? Brzegiem Wisły — jak donoszą pisma — siedział jakiś człowiek, z dziewczynką na ręku, który uspokoiwszy płaczące dziecko, rzucił się z nią do wody. Flisacy z trawem pospieszili mu z pomocą, on jednak stał im zacięty opór, wołając, iż chce umrzeć. Nareszcie wyratowano omdlałego wraz z dzieckiem. Jak sprawdzono, nazywa się Aleksander Kozerski, mieszka przy ulicy Długiej pod nr. 23. Straciwszy posadę oficjalisty prywatnego i nie mogąc znaleźć zarobku, postanowił utopić siebie i córkę. Udaremnił ten zamiar i... No i dalej będzie szukał miejsca, aż je znajdzie na dnie Wisły. Chyba los nie może okrutniej pastwić się nad nieszczęśliwym, niż wtedy, gdy mu nie pozwala ani żyć, ani umrzeć.

Śliczniutki temat do obrazka podaje również pismo galicyjskie *Krynica* z przeszłej zimy, kiedy chłop tamtejszy — jak mówią zakopanie — żywił się głodem.

Gospodarz z Jawornika sprzedał Michałowi Jamrozikowi konia, którego nie miał czym karmić, za 9 centów (około 12 groszy). Jamrozik odstąpił go Lejbie Kohenowi za 15 centów, Kohen znowu Jędrzejowi Jamrozikowi za 18, a ten — jakiemuś chłopcu za 20 centów. Chłopiec przypędził zwierzę do domu, ale go matka obili i kazała oddać konia poprzedniemu właścicielowi. Wrócił więc na jarmark i odnalazł Jędrzeja Jamrozika, który jednakże pozostał głuchym na wszelkie prośby i ustępstwa, a zniecierpliwiony natarczywością chłopca, za drzwi go wyrzucił. Ten puścił się w dalszą pielgrzymkę i zaczął błagać przechodniów, ażeby konia darmo wzięli. Nikt nie chciał go wysłuchać. Płaczącego spotkał żyd Mendel Wassermann i taką dał mu radę:

— Obetnij ogon i grzywę, dostaniesz za nie kilka centów, a konia wyprowadź za miasto i puść.

Chłopiec zrobił to, za włosień otrzymał 10 centów, a konia puścił. Dla ostrzyżonego zwierzęcia nastała niedola. Do północy chodził po mieście, wreszcie stanął przed domem Marka Blaua i głową w okno bić zaczął. Przestraszeni żydzi, sądząc, że szturmuje złodziej, wybiegli z drągami, hakami i łopatami i odpędzili konia, który powłókł się na miasto. Nad ranem spostrzegł on stado koni, prowadzonych do Sieniawy przez Chaima Adlera i Fajwla Wiesenfelda, więc przyłączył się do nich. Żydzi chcieli go odgonić, w końcu zlitowali się nad nim i wraz z innymi przyprowadzili do Sieniawy, gdzie go sprzedano za 25 centów.

Czy to nie prawdziwa tragedia i zarazem nie wymowna winieta dla dziejów nędzy chłopca galicyjskiego? A ręczymy, że

gdyby ten biedny koń chciał się być utopić, straż wyratowałaby go.

## NA WIDNOKRĘGU.

Wrażenia ogólne. — Kilka słów rady życziwej. — Pierwsze echa kwestyonaryusza w sprawie żydów. — Nasze próchno rodzinne. — Usuwanie szczątków przeszłości, czyli serwitutów w Lubelskiem.

Prowincya zamknięta w wąskim widnokręgu prasy swojej, zwłaszcza w miesiącach gorących, odsłania tylko rąbek swojego oblicza. Kronikarz jej życia, używający za jedyną powiadomczynię spraw społecznych w tej dziedzinie — bibułę drukowaną: znajduje się w położeniu widza, któryby przez dziurkę od klucza chciał ogarnąć szerokie przestwory. Spoglądam tą szczeliną i nie dostrzegam nic, prócz podpalaczy, zbrojów, włóczęgów i ludzi bez legitymacyj, dzień i noc długim szeregiem transportowanych po kraju do miejsc urodzenia, — a przytem, słyszę bezsilne a nieustanne kwilenia rolników na kaprysy natury, daremnie oczekującej na ujarznienie i celowe nagięcie swych sił. W niesforny chór skarg tych dzieci-starców czasem się wplecie modlitwa dziękczynna za kilka promyków słońca, za kilka kropel deszczu, za grad, który przeszedł strunami, za nieurodzaj, który dotknął kraje ościenne, za staniałą siłę roboczą „bandosów“, którzy w czas przyszli z gór, żeby zastąpić miejsca opróżnione po wychodźcach. Prasa prowincjonalna, zwykle usiłująca być wyrazieliwą wszechklasowych interesów czyli, jak mniemam, służąca „dobru narodowemu“, stale nachylając się w stronę właściwego punktu ciężkości — w kierunku interesów klasy uprzywilejowanej raz na rok, na pewien czas, bywa wydzierzawianą ziemiaństwem. Wtedy podobną jest do owego mizernego zwierciadła kucharek wiejskich, zmatowiałego i nadłuszczonego, w którym nigdy nie odbija się twarz całej prowincyi, lecz co najwyżej nos, oko ziemiańskie, poryte zmarszczkami troski powszedniej czoło. Pokrywają się więc szpalty *Gazety radomskiej*, *lubelskiej*, *Kaliszani* i t. p. korespondencjami, które, rozważane przedmiotowo, wszystkie zmierzają do wspólnego celu: usiłują moralnie i środkami prywatnymi odzwierciedlić stan prywatnej produkcji rolnej, z wielką i średnią własnością sprzężonej. Choroby roślinne, widoki na ceny, jakość ziarna, namłotność zboża, zjawiska atmosferyczne — oto treść wszystkich tych doniesień, zakończonych zwykle wieścią o wynikłym z podpalenia lub papierosa pożarze, o dokonanym rabunku lub morderstwie, — treść okraszana sensem moralnym. Każdą taką korespondencją można by śmiało zamienić na inną, bez różnicy czy pochodzi z Łęczycy, Ostrołęki i Lubartowa — i autor nie poznałby się na figlu: wszystkie bowiem to samo w kółko powtarzają. Taka jest nasza domorośla statystyka. Zapisawszy jednak coś na karb „pory ogórkowej“, niesprzysługującej podobno szybszemu i głębszemu biegowi myśli, trzeba się pogodzić z faktem, że jak w każdej porze roku drobne są fale życia naszej prowincyi, tak drobne być muszą jej odbicia.

To, com powiedział, jest wynikiem ogólnego wrażenia z czytania gromadzących się mi pod ręką w odstęпах dwóch tygodni — pism, nie zaś skutkiem złego humoru, — i nie jest marnotrawnem ciskaniem słów w przestrzeń. Prasa prowincjonalna nasza położyła już pewne zasługi i ma prawo do uznania, chociaż za samo mówienie tego, o czem warszawska milczy lub czego nie domawia. Musi jednak w imię dalszego rozwoju ująć swoich korespondentów w karby systematu, wymódl na nich, żeby, zaniechawszy dowolności, sfornie i grunto-



wnie, lecz bez gadulstwa, informowali czytelników, a przede wszystkim, ponieważ prasa prowincjonalna nie wyszła jeszcze niestety z okresu wszechklasowego wyrażicielstwa, to jest, nie różniczkowała się, jak warszawska, na organy drobniomszczańskie, szlacheckie, klerykałne i t. p., — kierownicy jej powinni dołożyć starań, żeby prócz ziemianko-kościelnych spraw i inne, niemniej ważne, a bodaj nawet, naszym zdaniem, ważniejsze — znalazły w niej i szerokie odzwierciedlenie. Nie ja jeden i nie poraz pierwszy daję prasie prowincjonalnej podobną radę. Wiem, że skutecznienie jej będzie bardzo trudne, przynajmniej ze względu na „techniczne” trudności, nastrożane przez właściwość umysłową współpracowników — korespondentów.

Upoważnia nas do tego przypuszczenia przykład dostarczony przez *Gazetę radomską*. Niedawno p. N. Hirszband w tem piśmie pomieścił przeróbkę znanego kwestyonaryusza w sprawie, zbierania danych statystycznych o położeniu żydów u nas, kwestyonaryusza, jak wiadomo, będącego wynikiem inicjatywy wiodącego *Prawdy*. Przeróbka, a raczej uproszczenie i udostępniony szereg pytań, był poprzedzony odezwą do czytelników *Gazety* o poparcie podjętego przez *Wisłę* wyświeślenia najciemniejszej u nas stosunkowo kwestyi. Nie omieszkały nadejść odpowiedzi. Jedna z nich szczególnie jest charakterystyczną. Autor donosi o dwóch „żydkach” znanych mu. Pierwszy z nich jest pachciarzem i pożytecznym człowiekiem społeczeństwa ponieważ oddaje podwójne usługi: wytwórcy mleka, kupując je od niego i mieszkańcom pobliskiego miasteczka, dostarczając im tego artykułu spożywczego. Drugi jest krawcem i mieszka w wynajętej od chłopca chałupie. Prócz krawiectwa, trudni się handlem. Obu uważa autor za pożytecznych członków społeczeństwa, ale, pyta z miną filuta, jak ma się zachować w obec wymagań kwestyonaryusza, odwagi cywilnej i kodeksu karnego (artykułu o potwarzy), jeśli wie, że ci dwaj żydkowie oprócz pracowniczego zajęcia, trudnią się jeszcze zakazaniem przez prawo, jeden np. jest „pas-serem”, co stanowi główny jego dochód, drugi — pokątnym szynkarzem? W niepewności, pyta redakcję o radę. Naturalnie zalecono mu, żeby się kierował prawą i tylko prawdą, ale niezrozumienie ducha kwestyonaryusza i udawanie, że się wymaga od kogo rehabilitacji żydów za jakąbądź cenę, choćby drogą zamilczenia, — świadczą, iż autor mało jest rozwinięty społecznie. Sądźmy że podobnych rzeczywiście i udanych nieporozumień będzie więcej po stronie przygodnych „badaczów”, pożądanem jednak byłoby, żeby uprzedzenia rasowe jaknajmniej grały tutaj rolę, jeśli już zupełnie nie dadzą się zubożenić na rzecz prawdy przedmiotowej.

Pod tym względem daje godny naśladowania przykład niejaki p. Rola w *Gazecie lubelskiej*. On nie wahał się stanąć powyżej stronnictwośći plemiennej i w aryżetykach odkryć takich przymiotów, które zwykłe i niepodzielnie mają cechować semitów. Oto jakie nam daje wizerunki szlacheiców z nad ujęć Wieprza: Umiera w pewnym miasteczku doktor, po którym pozostaje na rzecz wdowy kilka tysięcy kapitału, pomieszczonego na *pierwszym* numerze hipoteki po Towarzystwie u jednego z ziemian. Zjeżdżają się na pogrzeb licznie ziemianie, a w ich liczbie i dłużnik. Jeszcze trup leżał na marach, gdy ten jał utyskiwać przed obecnymi: — „Panowie ponieśliście moralną stratę, a ja i materyalną.” — „Jako?” — pytają. — „A tak, bo suma wdowy na moim majątku po Towarzystwie. Biorę odnowioną pożyczkę, któż dziś obniży mi sumę nieboszczyka? — „Ależ wszystko zapisał wdowie” — powiada mu — to może obniżyć.” — Upieszony radą, zwraca się do reagenta i pyta, czy pełnomocnictwo do obniżenia

może być spisane. Przekłada rzecz kobiecie nieprzytomnej z boleści, ta oświadcza, że nie ma przeciw obniżeniu i może dać plenipotencję wieloletniemu przyjacielowi nieboszczyka. Pełnomocnictwo przygotowane na poczekaniu podpisuje wdowa, pełnomocnik zniża sumę, przenosząc ją z numeru 2 na 12. W kilka lat Towarzystwo wystawia majątek na sprzedaż, wdowa spada z całym swoim kapitałem, stanowiącym całe jej utrzymanie i idzie na łaskę rodziny. Zdolność posługiwania się matactwami prawa cywilnego jest więc dostępną nietylko jednej rasie...

A teraz inny przykład.

Na jarmarku spotykają się dwaj sąsiedzi rolnicy. Jeden z nich kupuje konie, dobija targu i zwraca się do sąsiada o pożyczanie 100 rs., które przyrzeka zwrócić owsem. Ma go dużo jeszcze — setki korcy. Naiwny sąsiad daje żadaną kwotę, ale owsa nie ogląda i na listy nie otrzymuje odpowiedzi. W kilka miesięcy spotyka się znów z sąsiadem. „A mój owies?” — pyta. — „Wstydz się sąsiad! — odpowiada — masz dwoje, a ja jedenaścioro dzieci!” To było pokwitowanie z uprzednio wyludzonej pożyczki, czyli — jałmużny...

Albo znowu: Do p. X. zjechał sekwestратор. Udaje się więc p. X. do sąsiada i wynurza swoją troskę. „Podobno sąsiadowi siana zabraknie — zagaduje. Kup ode mnie. Sprzedam ze dwa stogi; siano wyborne, owce, dla jagniąt — prawie herbata.” Sasiad daje pieniądze. Gdy po jakimś czasie posłał po siano, zastał gnój, niezdatny do innego użytku, tylko na podściół. Jedzie więc z pretensją do sąsiada — na progu jest najserdeczniej przyjęty. „A co, sąsiedzie, nie ładne siano?” — pyta gospodarz — wprost herbata! — „Ależ zgniło!” — „Co? — jak sąsiad śmie podobne rzeczy mówić, przy-czerniać — no! prawda, ale podczas sprzętu były deszcze, nie można było zebrać lepiej.” — „Ależ ja go nie wezmę, bo nie do użycia.” — „Ha, to sąsiad czekaj, może zbiorę z pogodą w roku przyszłym.” — „Ależ mnie obecnie jest potrzeba!” — „Cóż zrobić, innego dać nie mogę — i tak mi owce padają.” Chcielibyśmy wiedzieć, czy te okazy wiernie odmalował p. Rola, a jeśli tak, to gorąco mu polecamy dalej się zapuszczać z latarką w głąb warstwy uprzywilejowanej. Pożądanem byłoby wiedzieć, jak dalece byli „naturalni przedstawiciele narodu” — spróchnieli i ile jeszcze potrzebują znieść pchnięć, żeby ustąpić miejsca kierownikom produkcji rolnej z mniej delikatnej gliny — naszym „ciarachom.”

Własność chłopska weszła u nas już nieodwołalnie na drogę indywidualizacji. Ostatnie jej cieniowanie w lubelskim wykonywa astrolabium geometry. Jest to wypróbowanie starych szczytków komunalnych z dzisiejszej własności gruntowej u nas, która z natury swej nie może już dalej ich znosić. Serwituty leśne i pastwiskowe, jako ograniczenia kępujące prawidłowy bieg gospodarki prywatnej — muszą ustąpić ścisłym rozgraniczeniom, zasadzie indywidualizmu: „tu moje, a tam twoje.” Po uformowaniu tabel likwidacyjnych na podstawie Ukazu z r. 1864 i rozpatrzeniu w dalszym ciągu przez urzędy do spraw włościańskich, uroszczeń, dotyczących służebności, okazało się w gub. lubelskiej osad włościańskich, mających prawo do serwitutów na gruntach dworskich, donacyjnych i instytucyjnych 56,284, w tej liczbie przypadało 2,846 wyłącznie pastwiskowych, 5,606 wyłącznie leśnych, oraz 47,832 pastwiskowych i leśnych. Przeciwnie na każdy powiat przypadało do uregulowania po 5,628 serwitutów w osadach. Do końca roku ubiegłego, czyli w ciągu lat 25, zamieniono i zatwierdzono układy o zmianę serwitutów dla 26,308 osad, czyli szczegółowo w powiatach: biłgorajskim 332; chełmskim 2,624, hrubieszowskim 2,749, janowskim 2,235, krasnostawskim 1,020, lubartowskim 3,588, lubelskim 2,891, nowoaleksandryjskim (pu-

ławskim) 4,593, tomaszowskim 4,293, zamojskim 1,983; ogółem 26,308, czyli w stosunku do ogólnej ilości osad, korzystających ze służebności, uregulowano dotąd w powiatach: lubartowskim 76%, nowoaleksandryjskim 74%, lubelskim 69%, tomaszowskim 66%, hrubieszowskim 56%, chełmskim 48%, janowskim 37%, zamojskim 28%, krasnostawskim 23%, biłgorajskim 5%. Największą więc ilość serwitutów, do uregulowania pozostałych, znajduje się w powiatach zajętych przez urdynację Zamojskich. Wynika to stąd, że dążono tam przede wszystkim do ściślejszego ograniczenia praw serwitutowych na podstawie tabel likwidacyjnych i dodatkowych rozporządzeń — utrzymuje *Kurier codz.* — i że układy z włościanami stawały się trudniejsze wobec wysokich żądań z ich strony, szczególnie co do służebności leśnych. Właściciele dóbr, obciążonych serwitutami, stale doprowadzają gospodarstwa leśne do regulacji i co rok urzędowi włościańskim przedstawiają do zatwierdzenia plany regulacyjne z podziału lasów na poręby. Prócz tego władze włościańskie za pomocą własnych geometrów dokonywają corocznie pomiaru pewnej części gruntów chłopskich, odgraniczają je i wygotowują plany doręczane stronom. W ten sposób wymierzono już 419,403 morgów, a pozostało jeszcze do wymierzenia 748,658, czyli prawie dwa razy tyle.

Z. Atanazy.

## KRONIKA.

**W sprawie hypnotyzmu** *Praw. Wiestn.* zamieszcza okólnik departamentu medycznego do gubernatorów. Rozporządzenie to nastąpiło na wniosek nowgorodzkiego towarzystwa lekarskiego, przedstawionego ministerium spraw wewnętrznych za pośrednictwem gubernatora nowgorodzkiego. Motywy są następujące: 1) że publiczne przedstawienia hypnotyczne szkodzą zdrowiu, tak osób hypnotyzowanych, jak i widzów, przyczem u hypnotyzowanych rozwijają się rozmaite choroby historyczne, nerwowe, a nawet i umysłowe, przechodzące niekiedy w prawdziwą manię hypnotyczną; 2) że publiczne widowiska hypnotyczne dają złoczyńcom możliwość nauczenia się sposobów hypnotyzowania i stosowania ich następnie dla osiągnięcia celów niemoralnych lub występnych; 3) że wogóle przedstawienia hypnotyczne, bez odpowiednich objaśnień racjonalnych, mogą usposablać publiczność do fałszywych pojęć, a nawet wzmacniać zabobony; hypnotyczne zaś wstawiania mogą być przyczyną naruszenia przez osoby zahypnotyzowane porządku publicznego i spokoju, a nawet spełnienia działań przestępnych. W uwzględnieniu tych motywów, departament medyczny zabronił wszelkich publicznych przedstawień hypnotyzmu i magnetyzmu; — stosowanie zaś hypnotyzmu w celach leczniczych powinno być poprzedzone pozwoleniem władzy administracyjnej, danem jedynie tylko lekarzowi, który obowiązuje jest zastosować się do § 115 ustawy lekarskiej, dotyczącej operacji, to jest działać w asystencji dwu lekarzy.

**Kongres lekarski w Berlinie** zakończył swoje obrady. Był to niewątpliwie jeden z najświetniejszych zjazdów naukowych; ważniejsze jego momenty przedstawimy w numerze następnym.

**Sprawy szkolne.** Fundusze stypendyalne dla młodzieży, kształcącej się we wszystkich zakładach naukowych Królestwa Polskiego, złożone w warszawskim kantorze banku państwa, wynoszą w papierach publicznych procentowych rs. 1,759,352 i w gotówiźnie rs. 247,346, czyli łącznie rs. 2,006,698. Z procentów od tej sumy korzysta przeszło 1,000 niezamożnych studentów i uczniów tak średnich, jako też niższych zakładów naukowych.

Pytanie, czy studenci mogą przechodzić z jednego fakultetu na drugi, zostało rozstrzygnięte przez ministra oświaty w ten sposób, iż w półroczu wiosennem przejście to w żadnym razie dozwolone być nie może (*Kur. codz.*).

— *Now. wr.* donosi, iż ministerium oświaty rozstało do kuratorów okręgów naukowych cykularz, wyjaśniający znaczenie 44 artykułu ustawy wojskowej. Nie-



którzy wychowawcy zakładów naukowych po wyjściu z nich przed skończeniem całkowitego kursu bywają powoływani do losowania i z powodu niedostatecznego rozwinięcia fizycznego otrzymują prolongatę do następnego poboru. Potem te same osoby ponownie wstępują do zakładów naukowych i z tego powodu otrzymują nową prolongatę. Ponieważ takie postępowanie jest nieprawidłowe, przeto pp. kuratorowie nadal baczycie będą, aby osoby, które otrzymały prolongatę z powodu niedostatecznego rozwoju fizycznego, nie były przyjmowane do zakładów naukowych, dopóki nie odbędą powinności wojskowej.

— Ordynatorem chorób skórnych i wenerycznych przy klinice uniwersytetu warszawskiego mianowany został p. Edmund Kurella, lekarz niemieckojęzyczny.

— Ministerium oświaty postanowiło wyznaczyć nagrody za najlepsze podręczniki dla szkół przemysłowych. W ciągu 9 lat, poczynając od 1891 r., ministerium corocznie asygnować będzie na nagrody sumę 7000 rs., z czego utworzone zostaną dwie wielkie nagrody po 2,000 rs. i sześć mniejszych po 500. Jednocześnie ministerium przeznaczać będzie corocznie 1,000 rs. na koszty złotych medali dla osób, delegowanych do oceny nadsyłanych na konkurs podręczników (?). (Now. wr.).

— *Schlesische Zeitung* żąda polepszenia stanu szkolnictwa ludowego na Śląsku Górnym, w celu podtrzymania niemieczyny wśród ludności polskiej.

— W celu ułatwienia finlandczykom nauki języka ruskiego, postanowiono otworzyć bezpłatne kursy tego języka dla nauczycieli finlandzkich szkół ludowych.

— W Mitawie kilka ruskich zebrało t. z. kapitał aksakowski, który postanowiono przeznaczyć na zakładanie w Kurlandii szkół ruskich.

— Ministerium oświaty rozesało do kuratorów okręgów naukowych okólnik, zwracający uwagę: aby dyrektorowie i inspektorowie gimnazjów i progimnazjów oraz szkół realnych nie tylko nie brali na siebie 12 lekcji tygodniowo, przepisanych ustawą, jako *maximum*, ale wedle możliwości starali się zajmować sobie jak najmniej czasu wykładami; unikać rozdziału lekcji, niezajętych skutkiem wyjścia nauczyciela, pomiędzy nauczycielami pozostałych, a to w celu nieobarczania ich, ze szkoda ich własnych, stałych wykładów.

— **Muzyka.** Wydawnicza firma Augenera w Londynie wydaje cały szereg utworów Zygmunta Noskowskiego. Wkrótce ukaże się 31 jego dzieło, zawierające nową seryę krakowiaków na fortepian.

— **Sprawy kolejowe.** *Birż. wied.* zapewniają, że na wszystkich kolejach ustanowione zostaną wkrótce stacje do oceniania produktów i materiałów, dostarczanych przez przedsiębiorców na potrzeby kolejowe,

**Wyrok** pierwszej instancji, wydany na terrorystów ruskich w Paryżu, sąd apelacyjny paryski zatwierdził.

— **Pożary.** Miasto Brzostek w Galicji uległo pożarowi. — Węgierskie miasto Moor, w pobliżu Stuhlweisenburga, padło pastwą ognia. Przeszło 150 domów leży w gruzach. Wielkie ofiary w ludziach.

— **Burze.** Z Czech, Śląska i Moraw dochodzą wieści o straszliwych klęskach elementarnych: obrywaniu się chmur, burzach.

— **Przemysł.** Walcownia udziałowa „Koszyki,” jak donosi *Gazeta losowań*, zamknęła rok ubiegły stratą 23,006 rub. 53 kop. Straty w latach poprzednich wyniosły 134,030 rs.

— Na terytorium chińskim w Majmaczynie p. Stanisław Keller z Warszawy założył kantor komisowo-handlowy do pośredniczenia pomiędzy kupcami europejskimi a chińskimi.

— **Ustawa** warszawskiego towarzystwa jedwabniczego, zatwierdzona 10 grudnia r. b., wyszła w oddzielnej odbite.

— **Prasa.** Sprzedaż pojedynczych numerów gazety *Minuta* została wzbroniona przez ministra spraw wewnętrznych.

— **Wypadki.** Wybuch gazów w kopalniach węgla kamiennego w Saint-Etienne, we Francji, który nastąpił 29 z. m., był straszną w swych skutkach katastrofą. Ofiarą jej padło stu kilkunastu górników, około stu poniosło ciężkie rany. Izba uchwaliła 200,000 franków na wsparcia dla rodzin, dotkniętych klęską.

— W Gelsenkirchen wybuch gazu zabił dziesięciu górników.

— **W Liège** ma się odbyć 24 sierpnia kongres międzynarodowy komisarzy policyjnych. Jeśli to nie kaczka, to zapewne osła narad będzie technika policyjna... Może z czasem usłyszymy jeszcze o międzynarodowym zjeździe „Lock-Spitzlów,” pod przewodnictwem jakiego Wohlgemutha.

— **Cholera** wybucha na różnych punktach starego świata. W Hiszpanii pojawiła się już w prowincji Toledo. Na granicy Portugalii chroni się od niej dezynfekcja i kwarantanna. W dniu 1 b. m. ukazała się w Dżeddzie, w Turcji azyatyckiej. Notowano do stu wypadków dziennie. Rozbiegła się nawet była pogłoska o pojawieniu się jej w koszarach berlińskich, lecz najzupełniej fałszywa.

— **Zmarli.** Mazuraniec, jeden z najpopularniejszych poetów kroackich,

— Edward Bauernfeld, dramaturg niemiecki. Urodził się w r. 1802 w Wiedniu.

— Ludwika Ackermann, znana poetka francuska.

**Współzawodnik Pasteura.** Wielce klerykalna antwerska rada prowincjonalna obradowała niedawno nad wnioskiem wyznaczenia 500 fr. gminom wiejskim na koszt wysyłki do Pasteura osób pokąsanych przez psy wściekłe. Deputowany Smolderen oświadczył, że on wtedy tylko będzie głosował za tą sumą, jeżeli polowa jej przyznana będzie św. Hubertowi, który już od 1100 lat leczy pokąsanych przez psy wściekłe. Liberalni wysłali to żądanie, które jednak poddano głosowaniu imiennemu. Ponieważ wszyscy ultramontanie, oprócz dr. Depretera, połączyli się ze Smolderem, znaczną przeto większością uchwalono: „500 fr. dla instytutu Pasteura i 500 dla św. Huberta.” Działo się to wyrażnie dnia 15 lipca 1890 r.

— **Oddalenie gwiazd.** Niema między gwiazdami stałemi (prócz słońca) żadnej, któraby w mniejszym oddaleniu od nas była niż 4,000 miliardów mil, przeciwnie bardzo wiele z nich jest dziesięć, a nawet sto razy odleglejszych. Według ostatnich badań, najbliższą jest gwiazda *a* w konstellacji Centaura na południowej półkuli nieba. Przypuśćmy, że łączyłaby z nią ziemię nasza droga żelazna, i że dla ułatwienia komunikacji zniżnoby taryfę jazdy do 1/2 feniga za kilometr. Chce z tego korzystać podróżny i przychodzi do kasy, aby kupić bilet. Jakież będzie jego zdziwienie, gdy dowie się, że cena jazdy wynosi 22 miliardy marek! Jako przeżorny człowiek zasięga jeszcze niektórych praktycznych wskazówek. — „Z jaką chyżością kursują pociągi?” „96 kilometrów na godzinę razem z przestankami.” — „A kiedy pociąg zajedzie na miejsce?” — „Za 48,663,000 lat.” (*Gaz. warsz.*)

— **Myśli kosza do papierów.** Pod tym tytułem P. Rossegger rzucił (w *Heimgarten*) kilka trafnych uwag:

Dobry dowcip nie ma włosów, za które można by go naciągać. — W literaturze są również talenty, którym za muzykę ich katarynki coś się daje, ażeby dalej poszły. — Humorysta jest to taki człowiek, który co najmniej posiada 12 zeszytów *Fliegende Blätter* (słynne pismo humorystyczne). Gdy liryk z satyrykiem spotkają piękna kobiecie, pierwszy patrzy jej w oczy, drugi — na turniurę. — Natchnieniem wielu dzisiejszych poetów nazywa się honorarium. — Ostre pióro jest często grzecznym wyrażeniem zamiast „dobre nożyczki.”


#### ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu W. M. w Ryp. Jeszcze nie wyszło.  
Panu L. W. w Pivcach. Wysłałismy dodatek z numerem; należy nam się kop. 30.

## O G Ł O S Z E N I A.


### Do AMERYKI.

#### BILETY JAZDY

 Holendersko-amerykańskiego Towarzystwa żeglugi parowej

w Kantorze Ekspedycyjnym  
**MAURYCEGO LUXEMBURGA,**  
Jeneralnego Agenta Towarzystwa  
w Warszawie, Erywańska 6.

Wszelkie objaśnienia szybko i bezpłatnie.

 Najkrótsza, najszybsza i najtańsza podróż.

### „Na Raty”

Lustra

sprzedaje miejscowym i na prowincye  
Fabryka zwierciadeł

**MAURYCEGO Silberberga**

S, Rymarska, S.

Z powodu istniejących firm podobnych uprasza się o zwrócenie uwagi na

**dokładny adres i Nr. S.**

F. Drechsler

Warszawa,  
Leszno 14.



ROWERY od  
rs. 125—250.  
BICYKLE od  
rs. 100—220.

Używane weloepedy od rs. 50.

Nagrody z Wystaw za skuteczność:  
Warszawa 1885, Warszawa 1886, Kraków 1887, Symferopol 1888.

!!TYSIĄCE ŚWIADECTW!!  
**PEWNY SRODEK**  
**„EXSICCATOR”**  
  
OSUSZA WILGOĆ,  
ZABEZPIECZA DRZE  
WOOD GNICIA, GRZYB  
KA i t. p. — BROSZUR  
KA ILUSTROWANA  
BEZPŁATNIE.  
POSZUKUJE  
AGENTÓW.  
Wyn. Inż. G. Ritter.  
KRÓLEWSKA 39.

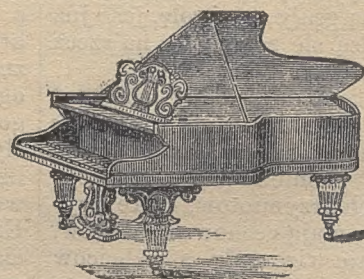
Uwaga. Upraszam o zwrócenie uwagi na markę fabryczną, gdyż wiele pojawiło się fałszyfikatów.

### GEBETHNER i WOLFF

#### NAJWIĘKSZY W KRAJU

#### Skład Fortepianów i Pianin

 Sprzedaż  
na raty. 



Wynajem  
instrumentów.

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

#### MAGAZYN

#### Ubiorów Męzkich

#### P. KREPSKIEGO

ulica Kotzebue Nr. 11 (Hotel Brühlowski),  
w Warszawie.